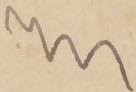


W. H. B. W. S. K.

3



LIBRARY

DEOTYMA.



K. BARZYKOWSKI

BRANKI *
W JAŚYRZE.

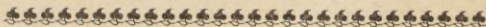
O! BO LEPIÉJ PÓJŚĆ NA MARY,
NIŻ W NIEWOLĘ NA TATARY.

(Piosenka ludowa).



WYDANIE DRUGIE.

TOM II.



WARSZAWA.

NAKŁADEM XIĘGARNI

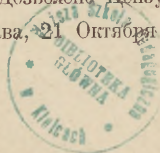
TEODORA PAPROCKIEGO I S-KI

NOWY-ŚWIAT 41.



1901.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Октября 1900 года.



174101

CZEŚĆ DRUGA.

Czy to koniec świata?

Kiedy tak na ziemi naszój ludzie w najlepsze gospodarowali, bawili się i swarzyli, tymczasem od wschodu—zagrzmiało.

Dawno tam szalał już huragan, jeden z najstraszniejszych, może nawet najstraszliwszy jaki nawiedził kiedykolwiek ludzkość. Ale ta strona świata, jeszcze wesołym słońcem oświetlona, nie domyślała się jego potęgi, a zwłaszcza jego rozległości. Czasem, od ruskich granic, wieść krwawa mignęła jak błyskawica, narody spoglądały po sobie mówiąc: «Będzie burza — wielka burza.» — Potém nadchodziły miesiące ciszy, lata ciszy, niebo zostawało pogodnym, ludzie się uspakajali, i mówili sobie: «Może do nas nie przyjdzie?»

A tymczasem Wschód się przewracał aż do dna, jak morze nawałnicą skopane. Co było na

wierzchu poszło na spód, co było na spodzie wyszło na wierzch.

Dzieje państwa Mongolskiego mało są znane ogółowi, nawet wykształconemu. Chyba zapaleny Orientaliści wglądają w tę osobliwszą kartę przeszłości. Dla reszty widzów, przedstawia się ona jakby krajobraz niewyraźny, osnuty mgłą czerwoną, w głębi której Wielki Mogoł siedzi czarny, olbrzymi, nieruchomy, podobny do sennego straszdyła. Olbrzym już runął, a raczej przerodził się w inne, więc już nie budzi ni trwogi ni ciekawości. Ludzie ruszają ramionami, mówiąc: «A co nas już on obchodzi? Kiedyś to tam było, ależ to tak dawno!»

Dawno i nie dawno. Zwykłym rachunkiem statystycznym licząc po trzy pokolenia na stulecie, dopiero osiemnaście pokoleń przesunęło się od pierwszego wtargnięcia Mongolizmu do granic naszej ziemi; dajmy nawet więcej, dwadzieścia kilka pokoleń, ach jakież to bliskie dla nas połączenie z praojcami którzy odpierali tę burzę! Dzieje Karola Wielkiego, i Rzymian, i Greków, znamy nierównie dokładniej niż wewnętrzne dzieje Mongolji, a jednak tamte są dla nas obcą tylko powieścią, podczas gdy te co chwila żywcem wkrawają się w nasze własne losy. Kogóż najmocniej powinny obchodzić, któż najpilniej powinien je badać i wyświecić, jeśli nie my, dla których pasowanie się z tajemniczym kolosem

Orientu, stanowi największą zasługę nabożną i świecką?

Warto więc przyjrzyć się kolosowi, témbar-
dziej że i w przestrzeni jest on bliższy niżby się
zdawało, bo choć bardzo daleko siedział, dziwnie
długie miał ręce, od Japonji aż do Wrocławia;
i w czasie, bliższy on niż się zdaje, bo choć bez-
pośrednio już dziś usunięty, jeszcze pośredniemi
wpływami, nieraz daje nam uczuć trujące miaz-
maty swojej źle zaszypanej mogiły.

Duch dziejów dzierży w ręku szalę, na któ-
rych usiłuje utrzymać równowagę. Jak tylko
jedna szala zaczyna się zbyt przechylać, jak tyl-
ko jedna część ludzkości zaczyna się cieszyć że
owładnęła przeznaczeniem, wnet na drugą szalę
spada nowy ciężar, który nietylko równoważy,
ale zdaje się niweczyć całą przeszłą robotę; wpraw-
dzie to tylko «zdaje się»; i to tylko dopóty, do-
póki nie ustanie gwałtowne drżenie obu szalek;
potém znów chwila ciszy, i znów niewidzialna
ręka, chcąc umniejszyć zbytnią przewagę dru-
giej szali, z niej coś ujmie, a na pierwszą coś
dorzuci. Ludzie dziwią się co znaczy to nieu-
stanne kołysanie, a to Duch dziejów tak waży
pokolenia, narody i wieki, i porównawszy ich
różnice, zapisuje ile które warte, bo wszelka war-
tość jako rzecz skończona, tylko przez porów-
nanie może być ocenioną.

Kiedy w Europie wszystko się rozpręgało, rozstrzeliwało w gwiazdę o stu promieniach, coraz dalej odbiegających od swojego środka, tymczasem w Azji, może dla owej strasznej równowagi, rosło państwo przedstawiające najpotężniejszy przykład zjednoczenia *dośrodkowego*, jaki sobie wymarzyć można.

Wszystko tam stoi na liczbie *jeden*. A najprzód, całe państwo rodzi się w *jednej* chwili. Nazwa «Mogoł» znaczy «biędny», «słabiuchny», i rzeczywiście plemię Mongołów było może naj-słabszém pomiędzy biędnymi koczownikami wyższej Azji. Naraz, powstaje w tém plemienu *jeden* człowiek, co przez ciąg swego *jednego* życia, wyprowadza naród z poniżenia, przeprowadza go przez wszystkie stopnie rozrostu, doprowadza do szczytu wielkości, w przeciągu lat kilkunastu podbija mu niemal połowę kuli ziemskiej, czyni go najbogatszym, najsilniejszym w świecie, i pała dla niego taką bałwochwalczą miłością, że cały ród ludzki chce mu rzucić pod stopy, a dla siebie nie żąda ani wschodnich tytułów ani kadzi-deł, każe się tylko nazywać Dżyngischanem, *wodzem potężnych*.

To téż naród odwdzięcza mu się równie bałwochwalczém przywiązaniem. Jak świat światem, nie widziano równej karności, równie ślepego posłuszeństwa, równie bajecznej spójni.

Ta harmonja doprowadzona do zupełnego *unissono*, daje Mongołom siłę niepokonalną. Co

tylko przedsięwzema, wszystko się udaje; co tylko zamarzą, wnet się spełnia. To szalone szczęście zawraca im głowę; widząc jak los niewolniczo służy wszelkim najdzikszym ich zachceniom, wpadają w szal pychy, tracą zdrowy rozum, uwierzyli że niebo im pomaga, że są wykonawcami jakiejś wyższej woli, jedynym na ziemi narodem złożonym z jakichś istot *nadludzkich*.

Nazwa «człowiek», «ludzie», gdzieindziej taka chlubna, u Tatarów stała się cechą poniżenia. zaznaczyła ciężką służbę i poddaństwo, jakby tam rządzący byli czémś więcej niżli ludźmi.

(Pogardliwy ten zwrot mowy, odbił się nawet u narodów, które pozostawały w bliższych z nimi stosunkach, nie wyłączając i naszego kraju, gdzie do dziś dnia się mówi: «Zawołaj mego *człowieka*,» — «Wydadz obiad dla *ludzi*,» i t. p. — Tatarskie to — jak mniemam — są naleciałości).

W skrzywioném raz pojęciu, Tatarzy poszli jeszcze dalej.

Jak Hiszpanie na Indjan, jak biali na czarnych, tak Mongołowie patrzyli na całą resztę rodzaju ludzkiego. Było to dla nich w całym znaczeniu tego słowa, *bydło*, dobre na pastwę, na handel, na wysługę, w końcu na zarznięcie. Wielki zaszczyt, jeżeli czasem pozwalali, aby te stworzenia posłużyły im za chwilową zabawę.

To téż i wojna szła u nich nie jak wojna, ale jak olbrzymia obława, jak najwytrawniejsze

polowanie, ze wszelkimi dowcipami sideł, lepów i zasadzek.

Narodów już podbitych, używali jako naganki do spędzania i otaczania nowych. Obłaskawionych więźniów, używali jak ptaszka w klatce, na wabika dla ptasząt jeszcze wolnych.

A wszystko to czynili bez najmniejszego wyrzutu sumienia, jak strzelec który zastawszy lisa w samotrzasku, nie wymawia sobie względem niego zdrady, ale śmieje się, i dobijając go, mówi: «A! Tuś mi na koniec, głupcze! Dobrze ci tak, czego się dajesz łapać?»

Toż samo wyobrażenie sprawiało, że Mongoł nie dbał o żadne popisy męstwa, o żadną chwałę dla chwały, ani «punkt rycerskiego honoru». Myśliwy co się boryka z niedźwiedziem, nie stoi bynajmniej o szacunek niedźwiedzia; pragnie tylko jak najzręczniejsz go zwalić, piękne futro z niego zedrzeć, i tym zwycięstwem podnieść się w oczach istot *równych sobie*, swoich towarzyszy myśliwych.

I tak, po krótkim czasie, Mongołowie wyrobili dla swego wyłącznego użytku, dwie moralności, dwa kodexa obyczajowe. Między sobą uczciwi, prawdomówni, zdolni do wielkich uczuć i poświęceń, dla wszystkich innych mieszkańców naszej planety, nie poczuli się do żadnych a żadnych obowiązków sumienia.

To też nic dziwnego, że z *początku* wszystkie narody z niemi przegrywały. Ta strona co

nie przebiera w drogach, najprędzej staje u celu. Wszystkie inne ludy, choćby najzepsutsze, jeszcze nosiły w sobie jakieś resztki dobrej wiary, uczciwości, zaufania; to wszystko właśnie je gubiło; ginęły, częściej oszukane niżeli zwalczone. Ależ bo długo ludziom nie mogło pomieścić się w głowie, że u Mongołów żadna przysięga nie jest świętą, że u nich obietnice i wszelkie wyrazy mają dwa znaczenia, że najuroczystsze umowy na to tylko się ogadują, piszą i stwierdzają, aby po wykonaniu ich przez jedną stronę, zostały podarte i wyśmiane przez drugą. Nim naród jaki doszedł do tych bolesnych przekonań, opłacał je tysiącem niespodzianek, po których już było najczęściej za późno.

Próbowano wszelkich środków przebłagania tej Nemezys dziejowej. Bronić się? Zguba pewna. Poddać się? Nieco przewleczona, ale niemniej pewna.

Posyłano niezliczone dary; Mongołowie przyjęli dary jak najwdzięczniej, a potem poszli i wyrznęli dawców. Z miast wysyłano processje małych dzieci, dla wzruszenia w nich wnętrzości ludzkich; Mongołowie pomordowali dzieci, a potem szli i mordowali rodziców, zawsze kierowani zasadą, niezaprzeczenie roztropną, że nie trzeba pozostawiać po-za sobą nikogo, coby miał żal i przyczynę do zemsty.

A przytém, jak oni umieli przemądrze korzystać ze słabości i niezgód innych plemion!

Dzielić aby panować, klócić aby mieć przyczynę do mieszania się w cudze sprawy, pochlebiać każdej stronie, aby każdą kolejno wciągnąć i ujarzmić! Bizantyńcy ze swoją sławną greca fides, jeszcze obok nich wydawali słę uczciwemi; Machiavell, to baranek w porównaniu do tych wężowych mistrzów przewrotności; cała dzisiejsza dyplomacja, to miód i mléko, przy tajemniczym wyskoku jakim umieli spajać ludy.

Wobec téj nowéj taktyki, téj nowéj dyplomacji, téj nowéj moralności, najgorsze narody wpadały w oburzenie, najmędrsi ludzie głupieli, cała ludzkość osłupiała,—a Mongołowie korzystali nawet i z tego osłupienia. ażeby jeszcze mocniej dociągnąć jéj więzy.

A wszystko to robili systematycznie, na zimno, bez żadnej wyłącznéj nienawiści do jakiegokolwiek narodu lub wyznania, działali dla idei.

Tak,—bo i Mongolja miała swoją dziejową, ukochaną ideję.

Nie było to posłannictwo Attyli, co się uważał za «Bicz boży», — nie, w hierarchji duchów piekielnych, Dżyngischan stanął nierównie wyżéj; uniesiony prawdziwie Lucyperową pychą, on, Dżyngischan, uważał się..... doprawdy trudno powtórzyć..... za «Dobroczyńcę ludzkości».

Podobne pojęcie byłoby nie do wiary, gdyby historia nie przechowała nam dosłownie listu

w którym Wielki Chaan pisze do króla Francuzkiego:

«Przyjdziemy i do was, i dopiero wtedy ocnicie, jakie dobrodziejstwo ludziom wyświadczamy.»

Czegóż więc chcieli Mongołowie?

Oto, chcieli świat cały urządzić po tatarsku. Chcieli aby ludzkość wróciła się do epoki życia koczowniczego, pastersko - myśliwskiego, która według nich była «wiekiem złotym». Aby tego celu dopiąć, cóż trzeba przedsięwziąć? Oto najprzód, za wiele jest ludzi na świecie, trzeba część poświęcić dla szczęścia reszty. Rolnictwo jest niepotrzebnym wynalazkiem, przywiązuje człowieka niewolniczo do ziemi; gdzie tu koczować, kiedy ktoś wszędzie siedzi, i swojego zagonu strzeże? A przytém, po co te wszystkie zboża i ziółka, z tak wielką pracą uprawiane, kiedy człowiek co chce być zdrow i silny, powinien żywić się tylko mięsem i mlékem, a ziemia powinna wydawać tylko paszę dla bydła i koni? Po co te miasta, niezdrowe narośle, co wysysają wszystkie soki jakie powinny wolno krążyć?

Niech cała ziemia zmieni się w jedno olbrzymie pastwisko, na którém będzie swobodnie koczował wybrany ród Mongołów, i trochę in-

nych ludzi, tyle ile potrzeba do ich obsłużenia— a «jako jest jeden Bóg na niebie, tak będzie jeden Chaan na ziemi.»

Wtedy nastanie szczęście, wróci się «wiek złoty».

Aby go przywrócić, trzeba wiele poświęcić, jedno, dwa, może więcej pokoleń. Smutne to, ale konieczne. Dla tak wielkiego celu, wszystko warto oddać, wszystko się opłaci. — A więc, do dzieła!

Taką była utopja Mongołów, najlogiczniejszy jaki kiedykolwiek istniał, program nihilizmu, poślubionego jak zawsze z najwyższym despotyzmem.

Była to jakby krwawa karykatura, którą piekło chciało przedrzęźniać niebieskie prorocstwo o «jednej owczarni».

Widząc jak Chrześcijanie napróżno pracują nad jego spełnieniem, Szatan pewnego dnia roześmiał się, i powiedział:

«No, kiedy wy nie możecie poradzić, to ja wam tę owczarnię urządzę, ale po mojemu; i ręczę że zrobię lepiej, a w każdym razie prędzej.»

I wziął się do roboty, i rzeczywiście bardzo szybko, bo po szatańsku, na nic się nie oglądając, w środkach nie przebieając. Zresztą zawsze

łatwiej niszczyć niż budować, a on za całą budowę chciał mieć kupę gruzów.

I zdawało się przez chwilę, że postawi na swoim. Od stworzenia świata nie widziano tyle okropności. Ludzie zaczęli schnąć od strachu, i pytać się, czy to już koniec świata?

Przypomniano sobie przepowiednię, grożącą że przed owym skończeniem, pojawić się miał jakiś dziki naród, Gog i Magog, idący z samych kończyn ziemi. A czyż to nie wyraźny Gog i Magog?

Już runął świat Chiński, ogromny, szanowny, przechowujący najstarsze tradycje rodu człowieczego.

Świat Izlamu pada w zwaliska, mimo swojej świeżej, niezrównanej potęgi, którą Zachód napróżno taranami Krucjat chciał obruszyć.

Teraz kolój na świat Chrześcijański. Jeśli ten runie, o! wtedy ziemia już należy do szatana, utopja Tatarska przejdzie w rzeczywistość.

I z początku wydało się że tak będzie. Kiedy pierwsze bałwany onego morza uderzyły na pierwsze ziemie Chrześcjan, wszystko pod niemi znikło. Znalazł się wprawdzie rozpaczliwy opór,

stańło mnóstwo bohaterów, poległo mnóstwo męczenników, ale ogólny poziom umysłów był niedość wysoki. Oderwawszy się od siedmiu pagórków, zanadto zaciężył ku wschodowi, zanadto się tam pochylił, i oto już po nim. Cóż pomoże gruntowi że twardy, jeżeli leży w nizinie? Powódź go zabierze.

Dopiero Polska i Węgry, stały między wschodem a zachodem, jakgdyby łańcuch gór duchowych. Tu dopiero Opatrzność powiedziała morzu barbarzyństwa: «Nie pójdiesz dalej!»

Nieśmiertelna to i nigdy nie dosyć oceniona zasługa dziejowa. Tak, zasługa, — bo góry duchowe rosną dobrowolnie, samowiednie, same dźwigają się ku niebu.

W Polsce i Węgrzech tyle dusz czystych strzeliło wówczas ku wyższemu światu, że te dusze jakby rosnące szczyty, porwały za sobą cały poziom narodu. Mimo wielu dolin, a nawet i przepaści, poziom ten podniósł się do niewidzianej wysokości. Kiedy nadeszła pogańska nawała, mogła go uderzać i wstrząsać, — zalać go już niemogła.

Trudno zaprawdę nieprzyznać, że to zwycięstwo było dziełem samej tylko wyższości duchowej, bo wojennych zwycięstw nigdzie tam wówczas nie widzimy. Owszem, przy tém pierwszym zmierzeniu się z pogaństwem, i Polacy i Węgrzy na pozór wszędzie przegrywają, wszędzie tylko straty i klęski.

Tak, sami znoszą cios po ciosie, ale dotrwali na wyłomie, i do tych co po-za niemi stoją, potrafili nie dopuścić szturm.

Odtąd, Zachód może śmiało gospodarzyć, pracować nad misterną machiną postępu, malować missel wyzłocanej oświaty, siedząc sobie za tą cudowną tamą, co go zbawia od nieustannie grożącego potopu.

Ale na samój tamie żyć odtąd niełatwo.

Straszna-ż to dola owych skał co stanowią brzeg morza! Jeśli od strony lądu porastają drzewem i kwieciem, za to od strony wód, co za widok! Szczeliny pękające z grzmotem, pieczary wylizane słonym językiem fali, wieczne szamotanie się ze ślepią siłą, bez nadziei aby się kiedy bałwanom ta walka sprzykrzyła, bo choć wody coraz inne, morze zawsze morzem.

Tak,—ale niech nowe dusze wyrastają coraz nowemi szczytami ku niebu, niech góry piętrzą się na góry, a morze będzie coraz niżej, aż przyjdzie chwila w której bałwany już nie potrafią ich dosięgnąć. A więc—«Sursum corda!»

Kyrie eleison.

W refektarzu Witowskim, podwójny rząd panien i panienek siedzi przy dwóch stronach wąskiego, długiego stołu. Przed każdą stoi miseczka z jarzyną, czarka z wodą i kromka chleba; nad stołem palą się, zawieszone u sklepień kagańce, bo to już wieczerza, po której tylko pomodlić się i do snu ułożyć. A sen będzie smaczny po dniu pracowitym; jedne go strawiły na uczeniu swawolnych wychowanek, drugie na gospodarce, a niemała to rzecz, zarządzać tyłoma włościami, i domem tak licznym jakby jakieś miasteczko.

Przyjemnie i ciepłuchno w tej sali o dwóch ogromnych piecach, tém przyjemniej że pod oknami wyje zimowa zawierucha. To też wesołe są twarze zgromadzonych. U wyższego rogu siedzą zakonnice w swoich białych jak mleko habitach, na które opada czarny przezroczysty we-

lon; niby radosny strój błogosławionych, jeszcze przysłonięty cieniem ziemskiego smutku. Między mniszkami siedzi kilka matron w czerni, są to wdowy co świat sobie zbrzydziwszy, zamieszkały przy poświęconych. Dalej, rzadka już tylko bielą się habity, porozsadzane jakby straże między podłotkami, ubranemi w ciemne przyodziewki, białe fartuchy, i długie z tyłu zaplecione kosy. Wśród nich siedzi, także brunatno odziana Ludmiła, pomagająca paniom zakonnym w utrzymaniu porządku; jak niegdyś ją tu strofowano, tak ona dzisiaj strofuje, z udanym gniewem grozi, prosząc o milczenie, rzecz trudną w ciżbie gadatliwych dziewczynek. A warto-by uciszyć się i posłuchać na dobre, bo Siostra Lektorka czyta dzieje bardzo straszne i ciekawe.

Siedzi ona z boku, przy ciężkim, pięknie rzeźbionym pulpicie, którego deszczułka może się na śrubie podnosić i zniżać, wedle wzrostu osoby czytającój. Xięga gruba, łańcuszkiem przykuta, z kartkami o malowanych brzegach, otwarta jest dzisiaj na Żywocie Świętej Urszuli i jój towarzyszek. Początek przeszedł nieco zagłuszony szeptaniami szarego końca, — ale teraz przecie cały stół się uciszył, i wyraźnie słyhać czysty głos czytającój:

«A kiedy one panienki wsiadły na okręty, aby się do Armoryku przewieźć, powstał wicher i nawałność bardzo ciężka, co je zapędziła do

Niemieckich brzegów. A byli na téj wodzie morscy rozbójnicy, którym przewodził Melga Piktawski i Gaunus wódz Hunnów. Ci trafiwszy na ono wojsko panińskie, jakby na nieprzyjaciół uderzyli, i srodze pomordowali wszystkie one niebożątka. Potém płynęli do Brytanji, ale ich żołnierze Maxymowi ztamtąd wyrzucili. A Chrześcijanie mieszkający na onym krwawym brzegu, ciała panińek ze czcią wielką przenieśli do Kolna Agrypińskiego miasta, gdzie dotąd zacna ich pamiątka przechowuje się na cześć Chrystusa Pana, Amen».

Po tym ostatnim wyrazie, oznaczającym koniec czytania, młodzież chciała już przecie rozwiązać różowe usteczka, kiedy Przełożona podniosła rękę, i uroczyście rzekła:

— Kochane Siostry i dzieci! Pomódlcie się dzisiaj goręcej niż codzień. Miałam list od Królowej Miłościwej Pani, ta mi donosi wielką i straszną wiadomość. Tatarzy przeszli granicę, już Lublin wzięli i zniszczyli, już podobno ich widziano i koło Sandomierza. Król wyprawił się z mocnym wojskiem, jest w Bogu nadzieja że rozproszy to pogaństwo, i odwróci od nas krzyż ciężki, ale zawsze dużo Chrześcijańskich dusz zginęło i zginie jak owe męczeńskie towarzyski Świętej Urszuli. Módlcie się za ginących.

Słowa Przełożonej zmroziły całe zgromadzenie. Nikt jednak nie odczuł ich tak żywo jak Ludmiła. Wzmianka o Sandomierzu dźgnęła ją w samo serce. Żegnaniec niedaleko! Co się stanie z Elżbietą? Złożyła ręce i nie mogła wydobyć głosu.

Inne panny szeptały z trwogą:

— Już są! Czy być może? Lublin wzięty?

Jedna z młodszych Sióstr odezwała się głosiennie, wyrażając niejako myśl ogólną:

— Z temi Tatarami to zupełnie jak ze śmiercią. Wszyscy o niej mówią, mówią, a każdemu się zdaje że do niego nie przyjdzie. A tymczasem Tatarzy przyszli....

— I śmierć przyjdzie, — dodała któraś ze starszych, — i to wtedy właśnie kiedy się najmniej spodziewamy. To też trzeba zawsze być w pogotowiu, pod zbroją, pod chorągwią, jak nasz król z rycerstwem.

Przy tych słowach zaczęto wstawać. Wśród huku odsuwanych ławek, Przełożona znów podniosła rękę, mówiąc:

— Cicho..... cicho..... zdaje mi się że ktoś zadzwonił.

— O téj godzinie? — Spytała jedna z matron, niedawno zamieszkała w klasztorze, i nieznająca jeszcze tamtejszych zwyczajów.

— Cóż dziwnego? — Odrzekły mniszki. —

Jaki podróżny, jaki chory, proszący o lekarstwo lub xiędza.

Istotnie, w owych czasach, kiedy na bezdrożach i tak zwanych drogach, nie znano poczt ani hotelów, klasztory utrzymywały dla podróżnych dom wiecznie otwarty, i to było jedném z największych dobrodziejstw, z najśodszych łączników społeczeństwa. Przy każdym klastorze, oprócz szkółki i szpitala, był jeszcze taki dom gościnny. W Zgromadzeniach żeńskich, jak Witowskie, mężczyzn przejeżdżających puszczano do sal osobnych, umieszczonych po-za klauzurą, gdzie słudzy kościelni opatrywali ich potrzeby. Niewiastom podróżującym lub chorym, zakonnice usługiwały same. Ubogim zawsze darmo; bogaci płacili jeśli chcieli, «co łaska», lub wywdzięczali się darami dla kościoła. Nieraz widziano podróżników, co na jeden przybywszy nocleg, zostawali na długo, czasem na całe życie, i z ugoszczonych zmieniali się w gospodarzy. Obyczaj ten zapewne nie mało przeszkadzał zachowaniu twardéj reguły, i skupieniu ducha zakonnego; za to znów opłacał się towarzyskim pożytkiem, i sprawiał, że klasztory nie były jak dzisiaj warownią samotności i milczenia, ale tętniącemi w narodzie żyłami, przez które przepływał prąd ruchu, nowin i oświaty.

Nie zdziwiły się więc panny zakonne, kiedy i po raz drugi jeszcze wyraźniej zadzwoniono. Co je mocniej zdziwiło, to przestrach z jakim

Furtjanka wkrótce wbiegła, podnosząc ręce i wołając:

— O Jezu Nazareński! Co téż to tam przyszło! Jakieś kobiety z dziećmi, poranione, pokrwawione, obszarpane, w pół nagie, powiadają że Tatarzy obdarli je i pobili.

— Co? Tatarzy! — Krzyknęły mniszki i panienki. — Tatarzy? Więc już są tak blisko?

— Tego ja nie wiem. One mówią że aż z pod Lublina uciekły.

— I gdzież są? Gdzież są?—Pytała Matka Przełożona.

— A no, za furta.

— Jakto? Jeszcze ich nie wpuściłaś?

— Kiedy proszę Matki, jakiś mię strach ogarnął. Taka ich moc, że nie wiem czy nasze łóżka szpitalne wystarczą. A wyglądają..... istne widma. A przytém gadają..... jakoś niby z polska, a to nie po polsku.

— Wstydź się, — przerwała Przełożona—, kto się to boi nieszczęśliwych? Jak łóżka nie starczą, to znajdzie się słoma, zawsze lepiej niż trzymać je na mrozie.

— A cóż mówią stróże nocni, jak ich tam wiele?—Zagadnęła jedna z zakonnicek.

— Wołałam na stróżów, żaden się nie odezwał. Śpią próżniaczyska, śpią.

— A, to bardzo źle,—mówiła Xieni,—trzeba zaraz jutro dać im burę, a tymczasem idźmy do tych biedaczek.

I wzięwszy kaganiec w rękę, szła naprzód, za nią inne mniszki, także z kagańcami, za niemi panienki, miotane i strachem i ciekawością, tłoczyły się jak stado owiec.

Doszedłszy do furty, Przełożona zajrzała najpierw przez okratowane okienko. I ona w pierwszej chwili cofnęła się z przestachu, ale wnet odzyskując spokojność, zapytała:

— A zkąd to Bóg prowadzi? Z pod Lublina? Czy to prawda że Tatarzy.....

— Oj prawda, prawda. — Zajęknęła najbliższa niewiasta. — Jak nas Tatarzy przepędzili, tak już tydzień uciekamy. Chciałyśmy uciekać jeszcze dalej, ale nam dziecięta pomarły, miłosierdzia prosimy na jedną tylko nockę, aby nam te niewiniątka nie zamarły. Jutro pójdziemy, jak Bóg w niebie, pójdziemy.

Mówiła wyrazami słowiańskimi, tyle nawet podobnemi do polskich, że choć brzmiały inaczej niż je podaliśmy dla dzisiejszego czytelnika, przecież mniszki prawie wszystko zrozumiały. Dziwił je tylko akcent osobliwszy, nigdy niesłyszany; ale sądziły że to za Lublinem ludzie mówią taką dziwną polszczyzną.

— Ależ moja kobięto, — ciągnęła Przełożona —, ja nie rozumiem: pobito was przed tygodniem, a wasze rany jeszcze takie świeże, pełno krwi na was.....

— A to moja matko, tak mróz pootwierał rany, mróz.

Xieni odstała od okienka. Była zamyślona.

— Trzeba je wpuścić, — rzekła, — ale pierwój.... może która z was poskoczy, zadzwoni na Dziadków kościelnych, i przez kratę powie aby poszli w koło zobaczyć, stróżów pobudzić, bo istotnie te kobiety jakoś wyglądają podejrzanie.... Może to jacy złoczyńcy przebrani?

Przez ten czas, wychowanki i zakonnice kolejno zaglądały do kratki, a każda cofała się, składając ręce, lub zasłaniając oczy. Istotnie, widok był tragiczny: pod okienkiem stało z pięć lub sześć kobiet młodych, na wpół obnażonych, pociętych, świeża krew płynęła po ich twarzach i rękach, na których trzymały dzieci równie odrapane i zbolełe. Nieco dalej, tłumem ogromnym, niemożliwym do rozeznania ani policzenia w ciemności, roiło się zbiegowisko bab starych, przygarbionych na kiju, spowiniętych w pokrzwawione płachty, jęczących głucho, jakgdyby z pod ziemi. Wszystko to, przy niepewnym świetle xiężyca przesłoniętego chmurą, wyglądało na szereg larw cmentarnych.

Jedna zwłaszcza niewiasta najgłośniejsze rozwodziła skargi; ciągle chwytając się za ramię, krzyczała:

— O łotr poganin! Jak mię wczoraj ścisnął za rękę, to aż mi w kościach trzasło....

— Jakto wczoraj? — Podchwyciła zakonnica stojąca przy okienku. — Przecież to już tydzień?

— E, niech matusia nie uważa, — przerwała prędko inna kobieta, — strach jej przewrócił w głowie, precz jej się zdaje że to było wczoraj.

Przełożona przystąpiła znów do kratki, pytając:

— A niema tam żadnego mężczyzny? Bo temi drzwiami same tylko białogłowy mogą wchodzić. Mężów, braci, niema?

— A zkąd by my wzięły mężów albo braci? Wszystkich Tatarzy wybili, wszystkich co do nogi.

Siostra wysłana po kościelne sługi, powracała właśnie.

— Już ich pobudziłam, zaraz przyjdą.

Przełożona wołała na Szafarki:

— Trzeba przygotować łaźnię, ciepłą strawę, nanieść świeżej słomy.

A z otworzeniem furty ociągała się jeszcze, oczekując przybycia mężczyzn.

Tymczasem jedna z owych staruszek przystąpiła do jednej z kobiet trzymających dzieci, i coś szepnęła jej do ucha. Wnet dziecko wydało przeraźliwe krzyki, jakby je kto żywcem ze skóry odzierał, a kobiety zaczęły tupać o zmarzłą ziemię, wyrywać sobie włosy, i kłać na czém świat stoi.

— A cóż? Czy nas tu nigdy nie wpuszczają? A cóż to za dom boży gdzie niechcą ubogiemu otwierać? To tak, tłuste mniszki śpią na puchu, jedzą kury, a dla nędzarzy gorsze od Tatarów.

Zawstydzone temi wyrzutami zakonnice, rzuciły się w prośby do starszyny, Furtjanka, nie czekając ostatecznego rozkazu, nadbiegła z kluczami. Przełożona, choć jeszcze wahająca, pozwoliła otworzyć, ale tylko boczną, maleńką furtkę, przez którą ledwie jedna osoba mogła się przecisnąć.

Zaczęły wchodzić z jękiem, najprzód młodsze kobiety, które wnet zakonnicom przypadły do kolan, dziękując z niezmiernymi krzykami, potem starowiny, takie skulone, zapapuzione chustami, że niepodobna było rozeznąć ich wzrostu ani twarzy. Trzy takie weszły, podczas kiedy reszta natłoczywszy się w progu, pomrukiwała żałośnie, mimo zaproszeń Furtjanki, zniecierpliwioną zwłoką co mróz na nią pędziła.

Nagle, jedna z owych babulek wyprostowała się w olbrzyma, wyciągnęła ogromne ręce, i przystąpiwszy do drzwi głównych, jednym zamachem zdjęła z nich sztabę żelazną.

Inne staruszki, także powyrastawszy, wydarły Furtjance klucze, i zaczęły je dobiierać do zamku.

Przełożona przybiegła z oburzeniem, chwyciła pierwszą z tych olbrzymek za rękę, i wołała:

— Co to znaczy? Kto pozwolił?

Ale owa czarownica potrząsnęła głową tak mocno, że wszystkie chusty z niej opadły, i po-

kazała się straszna, koścista, szeroka, skośno-okatwarz mężczyzny.

Obejrzał się na zgromadzenie i pogroził sztabą.

Ze wszystkich ust niewieścich wyleciał jeden okrzyk przerażenia.

Zakonnice chciały biedz na pomoc Przełożonej którą zbój chwycił za gardło, ale nie mogły się wyrwać z objęć pierwszych kobiet, obejmujących je za nogi z udaną pokorą.

W téj chwili klucz został utrafiiony, oba skrzydła drzwi głównych rozwarły się na roścież, fala zimnego powietrza wionęła, i zgasiła większą część kagańców.

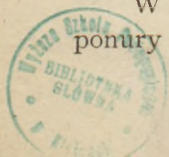
Słudzy kościelni właśnie nadbiegali. Widząc drzwi roztwarte, wpadli pierwsi, ale za nimi wpadało już mnóstwo innych ludzi, w krótkich kożuchach, w czapkach śpiczastych, zakrzywionych jak dziób krogulczy, z szabłami i siekiérami. Z po-za narożnych murów sypali się bez końca, z pod każdego krzaka powstawali jak widma.

W sieni zapanował dzień sądny.

Zakonnice i panienki zaczęły uciekać wgłęb' korytarzy, do sal, do celek, na poddasza, Tatarzy za niemi.

Słudzy klasztorni, po krótkim odporze, padli zwaleni, konając na progu.

W téj chwili z wieży odezwał się głęboki, ponury głos dzwonu. Pewnie który z Dziadków



kościelnych, przytomniejszy niż inni, wrócił się od wejścia, i uderzył na trwogę. Wnet ze wszystkich okolicznych budynków pobudziła się ludność, wybiegła na pomoc, ale klasztor już był opanowany. Jednych zabijano po drodze, drugich na progu ich domostw.

Tymczasem w sieni, na pozór pustej, zostało kilka istot żywych. Kiedy mniszki puściły się na korytarze, Ludmiła swoim łowczym okiem objąwszy niebezpieczeństwo, szepnęła do kilku zakonnic bliżej stojących:

— Jak one mogą tam uciekać? Przecież tam już niema wyjścia? Trzeba owszem trzymać się blisko drzwi, może schwycimy porę....

Był w sieni ogromny komin, teraz czarny i wystygły; ale wielkie pęki drzewa leżały tam, już na dzień jutrzejszy ułożone. Ludmiła wciśnęła się za to drzewo, równie jak cztery zakonnice. Wszystkie przykląkszy w popiele, drżały i wstrzymywały tchnienie.

Przyszła chwila w której sień znalazła się osamotniona. Jedni łupieżcy pogonili za uciekającymi, inni na dworze walczyli z odsieczą.

Ludmiła wyczołgała się z komina, a widząc za drzwiami krajobraz pusty, xiężycem blade oświecony, skinęła na towarzyszki.

— Niema nikogo.... uciekajmy.

Trzy wyszły za nią, czwarta nie ruszyła się, mówiąc:

— Ślubowałam że do śmierci nie opuszczę tych murów. Czekam na śmierć.

Ludmiła cisnęła jój przez zęby te słowa:

-- Dziecko z ciebie! Gdyby tylko śmierć, ale niewola..... u pogan!

Wychyliła głowę, śledząc czy przededrzwiami nie ma straży? Nie było żywego ducha.

Przeskoczywszy przez trupy sług zabitych, wybiegła i zaczęła pędzić z lekkością sarenki a trzy mniszki tuż za nią. Chwyciły się nawet za ręce, aby sobie łańcuchem pomagać, i już zaczęły oddychać, już mniej słyszały krzyków, — tylko dzwon żalony tętnił ogłuszająco w powietrzu zprzezroczoném od mrozu.

Była tuż przy klasztorze wyniosłość, nad którą rozlegały się lasy daleko sięgające. Wszystkie cztery, jedną myślą kierowane, zwróciły się ku téj stronie, tam tylko ludzka istota mogła jeszcze się ukryć; zewsząd indziej, kraj równy jak na dłoni, śniegiem przysypany, przerażał swoją widnością. Ale aby dostać się do tych upragnionych lasów, uciekające musiały wchodzić na pagórek. W niejakiém oddaleniu, kilkunastu pogan szamotało się z garstką chłopstwa; dostrzegli panienki pnące się na wzgórek, i zaraz dwóch Tatarów odbiegło pierwszej walki, dla ponętniejszój zdobyczy. Biegąc trzaskali nahajkami. Usłyszały to brzmienie złowrogie, ach! dosłyszały i bieg ich coraz bliższy, podobny

do pędu konia, zaczęły tracić siły; na spadzistości śnieg się z pod nich osuwał, dwie słabsze nie mogły nadażyć Ludmile, łańcuch rąk się rozerwał, każda uciekała z osobna, a nahażki klaskały, a dzwon bił z przerwami, jakby już i dzwoniący tracił serce.

Nakoniec stanęły u wierzchu, wśród pierwszych drzew leśnych. Ludmiła wnet straciwszy z oczu towarzyszkę, uniosła brzegi sukni, i na oślep wpadła w gęstwinię.

Kronika opowiada, że «wszystkie Norbertanki Witowskie zginęły jak towarzyszkę Świętej Urszuli, wszystkie z palmą w ręku, wyjąwszy trzy, które zdołały zbiedz do lasów.»

Tak,—te trzy zbiegły, kryły się długo w postrachu i głodzie, aż dano im było wrócić między swoich, ale ich ocalenie zostało okupione zagubą Ludmiły; kiedy bowiem białe habity Norbertanek nikły na tle śniegu, i myliły oczy pogni, ciemna suknia Ludmiły zdradzała ją wszędzie; za nią wyłącznie puścili się obaj Tatarzy, sadząc sążniste kroki, krzycząc jak za zwierzyną: «A hu! A hu!»

Wprawdzie duża przestrzeń oddzielała ją od nich, ale nierówne siły biegnących wciąż zmniejszały ten przedział. Kilka razy trąciła pniak sterczący, upadła i znów biegnie; jakiś zamarzły strumyk zatrzeszczał jój pod nogą, pośliznęła się, padła, znowu wstała i biegnie; ale śnieg coraz

głębszy ją wstrzymuje, cienkie niewieście obu-
wie rozmiękło i drze się o gałęzie.

Nagle, coś koło niej warknęło, coś ją chwy-
ciło za nogi jakby wąż pierścienisty; jeden z Ta-
tarów zarzucił na nią arkan. Chciała biedz da-
lój, sznur ją cofnął, i padła na wznak, szczęście
że padła w puch śniegowy. Dwaj doganiacze
schylili się nad nią. Należeli oni do najniższej
hałastry wojska; ich kozuchy świeciły tłuszczem,
ich płaskie nosy i krzywe oczka nadawały im po-
zór nie zupełnych szatanów, ale mieszkańców ja-
kiegoś innego, podlejszego świata.

Zwrócili jój twarz pod światło xięzycowe,
i rozśmieli się nad jój pięknnością. Ach! Pięk-
ność zawsze była w wojnach fatalnym okupem,
listem prawdziwie «żelaznym», dzwoniącym ha-
niebnemi kajdanami.

Więc nie zabili nadobnej zdobyczy, owszem,
ostrożnie linę z nóg jój zdjęli, jednym końcem
arkanu w tyle związali ręce, a drugi koniec po-
chwyciwszy, pędzili ją przed sobą świstaniem
nahajki, i swoim okropnym: «A hu!»

Ale panienka wpół zemdlona, ślizgała się
i upadała nieustannie; aż jeden, z krzykiem nie-
cierpliwości pochwycił ją, zarzucił na swoje ra-
mie, i uniół jak piórko. W niedługiej chwili
znaleźli się pod klasztorem, pomiędzy szeregami
wysokich, dwókolnych wózków. Położył ją na
wózk, na słomie, przykrył jeszcze słomą, i sta-
nął koło niej pogwizdując wesoło.

Ludmiła przemoknięta, przemarzła do kości,

zapadła w sen śniegowy, który jęj się wydał przedśmiertnym. Z rozkoszą pograżyła się w jakiś zawrót pełen światła i ciemnic, który ją pociągał w przepaść zapomnienia. Kilka razy jednak podniosła jeszcze powieki; raz ujrzała Tata-
ra w złotym ornacie, z czarnym welonem Norbertanki obwiązanym chwiejnie w koło czapki, który zbliżał się do wózka, pijąc z kielicha kościelnego, a potem podał go jęj strażnikowi; obaj kolejno zapijali chciwie, rzucając sobie wykrzykniki w niezrozumiałej mowie. Dzwon już się nie odzywał.

Kiedy po raz drugi otworzyła oczy, okna kościelne pały wielkim światłem. Na ołtarzach, w świecznikach wiszących u sklepień, wszystkie gromnice były zapalone. Przez ścianę dolatywały ciągle głucho szumy i szczęki, przerywane niekiedy cienkim, kołącym krzykiem.

Ludmiła usłyszała na sąsiednim wózku głos kobiety, na wpół zdławiony przerażeniem:

— O Boże! Teraz mają brać na męki Xie-
nię i starsze Siostry, ażeby im wyznały gdzie są skarby kościelne. Oj, ciężko wy kiedyś odpowiecie przed Bogiem!

— Cóż było robić? — Odmruknął głos inny grubszy, nacechowany owym obcym akcentem.
— Z naszymi panami nie przelówki. Już tam przed furta, kiedy my zjęte litością nad wami, zaczęły się nieco leniwięj napięrać, zaraz jeden z nich, niby to stara baba, szepnął mi w ucho

«Tak to wy słuchacie nakazu?» A kiedy szeptał, to pod ręką, pod moją własną ręką, dźgał mi dziecko tym swoim nożem krótkim, a takim wyostrzonym jakby same iskry. Nieszczęsne moje biédactwo w krzyk. Uczułam na ręku, o tu, krew..... ciepłą krew..... a to się lało z mego jedynaka. I co było robić? Czy my miały dać ugotować nasze dzieci żywcem?

Ludmiła zlekła się tych obrazów, tych słów niepojętych a strasznych jak zmora. Wkopała się jeszcze głębiej w słomę, obraz Turnieju Krakowskiego nie wiedzieć zkad przeleciał przed nią w blasku, zapatrzyła się w jakieś pawie oczy, zapomniała, i usnęła — branką.

Bitwa o której wiedzą i Chińczycy.

Jest w Sandomierskiem, pomiędzy Osiekiem a Połańcem, wieś odwieczna, zwana «Wielkiem Turskiem», pod którą zaszła onego czasu bitwa zaprawdę osobliwsza: obie strony walczące uznały ją za przegraną. Kronikarze nasi jęczą nad ciężką porażką, jaką wojsko Polskie poniosło pod Turskiem, ale i kronikarze Chińscy, opisujący wyprawy Mongołów, płaczą nad niepowetowaną stratą, jaką wojska Tatarskie poniosły w kraju «Polo», pod wioską zwaną «Tulisko».

Nie była to już pierwsza bitwa.

Ledwie doniesiono o pokazaniu się nieprzyjaciela u granic, młody król wyruszył, z gronem xiążątek pokrewnych którzy właśnie bawili w Krakowie, obdarzony błogosławieństwem matki, i życzeniami żony; tak, od Kingi odebrał same tylko, i to nieśmiałe życzenia; jój duch proroczy jasno widział przyszłość krwawą, czarną.

Kiedy król odjeżdżał, powiedziała do niego uroczyście:

— Choćby źle poszło, nie upadaj na duchu. Życie długie, los przemienne, Bóg cierpliwy.

Bolesław nie potrzebował zachęty, pełen był młodzieńczej ufności, chociaż miał siły bardzo drobne, nic więcej tylko swój dworski poczet, i orszaki owych xiążątek, wszystko co na prędcę dało się zebrać pod Wawelem. Całe właściwe rycerstwo dopiero ściągało do Kaliny, i nie można brać naszym praojcom za złe, że nie stali już w pogotowiu. Szykowano się ciężko, zwolna, jak we wszystkich ówczesnych wojnach na Zachodzie, a nikt jeszcze nie wiedział, że Tatarzy głównie wojują pośpiechem. Chcąc określić jak był bajecznym ten pośpiech, dość powiedzieć, że—wedle współczesnych świadectw: «biegli prędziej niżeli wieść o nich.»

I nie był to ślepy rozpęd. Podobna szybkość otrzymuje się tylko niesłychanym ładem, i zgodnością poruszeń. To też polski czytelnik oburza się, i ramionami rusza, kiedy u pisarzy zagranicznych, spotyka wyrazy lekceważenia dla naszych wojen ze Wschodem.

— «Wielka sztuka,»—piszą oni — «walczyć z taką bezładną dziczą!»

O! jakże głębokiej nieznanomości dziejów, dowodzą podobnemi słowy!

Pierwsze wojska Mongolskie, nie były to owe stare tłumy Hunnów albo Gotów, pędzące

gdzie oczy poniosą, — nie było to nawet owo zbiędniałe hultajstwo Nogajców, które później naszą ziemię po nogach kasało, — była to armja urządzona ze sztuką prawdziwie mistrzowską, wojująca ze strategją jeszcze w Europie nieznaną, a tak podobną do dzisiejszej, nadewszystko do Pruskiej, że doprawdy przychodzi się pytać, czy Moldtke nie studjował przepisów Temuczyna?

A najprzód, przed każdą wyprawą, jeszcze w głębinach Azji, najporządniej rozpisywano, ile głów ma dać każda rodzina, ile czasu trzeba na drogę, ile sił na jaką część świata, bo zwykle kilka wypraw jednoczesnych puszczało się w różne strony globu.

Potém, do każdej nowój krainy co się przedstawiała po drodze, wysyłano niezmierną ilość szpiegów. Ci, krążyli przez miesiące, czasem lata całe, tak że wodzowie Mongolscy, wchodząc do nowój ziemi, znali nietylko położenie wszystkich miast i wiosek, ale najmniejsze drożyny i manowce.

Idąc, zostawiali kilka szlaków nietkniętych, aby w drodze powrotnój, znaleźć paszę dla koni, i siedliska dla wypoczynku.

Jakiéjże było potrzeba karności, aby dzikiemu Azjacie powiedzieć: «Tu będziesz rabował, a tam nie. Tu wolno ci szaléc, a tam nie wolno ręki ściągnąć.»

Jednak, historia świadczy, że te rozkazy święcie wypełniano.

Podziw nas ogarnie tém większy, kiedy wspomnimy, że w tych olbrzymich wojskach, liczba samych Tatarów była stosunkowo niewielka.

I tak, w obecnej chwili, ze trzykroć stu tysięcy lecących na Polskę, ledwie trzecia część mogła pochlubić się nazwą Mongołów. Dwie trzecie wojska, były zbiorem przeróżnych, dawniej podbitych narodów, które zwycięzcy pędzili przed sobą, każąc im walczyć w swojej sprawie, a dla zachęty oddając im część łupów.

Były tam Ujgury bardzo mądre, były Tanguzy dziwnie zgrabne, byli Połowcy o fałszywym oku, Chazary o semickich rysach, Mordwiini i Czuwasze mali ale krępi, były Kirgizy sławne jeźdźcy. Armeńczycy o długich brodach, byli i nieszczęśni Rusini.

Jedne z tych narodów szły ponuro, stąpając tylko pod batem, inne biegły dosyć wesoło, pogodzone z losem przez nadzieję niewidzianej zdobyczy, i niesłychanej, krwiożerczej pohulanki.

Bolesław rażno jadący z garstką swoich dworzaków, zdziwił się niepomnie widząc to nieprzejrzane wojsko, które zdawało się tém ogromniejszém, że każdy z wojowników Tatarskich pro-

wadził pięć lub sześć koni na odmianę, a tabory więźniów z tyłu wleczone, pomnażały dla oka ciżbę.

Polacy dobrze czuli, że nieprzezornie jest mierzyć się z tak nierówną siłą; ale rycerski honor niepozwalał uchodzić bez walki. Szczęściem, wybrali dogodne położenie, z dwóch stron obronne bagnami. Spotkanie nastąpiło pod sandomierskiem Opolem; była to raczej utarczka niż bitwa. Młody król okazał tyle przytomności, że nie dał się oskrzydlić, resztki na czas wycofał, i po lekkiej przogranéj, ustąpił do Krakowa.

Ztamtąd, na gwałt wysyłał rozkazy po kraju, za posagowe pieniądze Kingi wynajmował rotę zaciężną, codziennie, co godzina pisał do Henryka Wrocławskiego, do Mistrza Krzyżaków, do Czech, do Xiążąt Niemieckich, błagając o posiłki, o pomoc jak najszybszą, bo niebezpieczeństwo nierównie bliższe i straszniejsze, niż sobie wyobrażano.

Wojewodzie Włodzimierzowi tymczasem kazał krążyć, czatować, i przynajmniej do stolicy nie dopuścić pogaństwa.

Biegły wódz, w niejednej szermierce podsiwiał, zebrał wszystkich rycerzy jacy już ścignęli do Kaliny, i zaczął szukać nieprzyjaciół. Ale była to prawdziwie jakaś gra w «Chowanego.» Wszędzie widziano ich *wczoraj*, nigdzie nie można było dogonić ich *dzisiaj*.

Tatarzy ciągnęli zupełnie jak ów pielgrzym,

który idąc do Rzymu, ślubował że «zawsze postawi trzy kroki naprzód, a dwa w tył.» Co rozpuścili zagony, to znów je ściągali, ażeby łup i jeńców pozostawić za sobą w bezpiecznym ukryciu.

I teraz, nabrawszy mnóstwo ludu, cofali się ku Strzemeskiej puszczy, w której głębiach, sławnych z dzikości, mogli plon ukryć jakgdyby pod ziemią.

Ludmiła, od chwili swojego porwania, żyła w zupełnym odurzeniu. Dotąd nikt jej nic złego nie wyrządził, tylko ciągle ją pędzono, przepędzano, to pieszo, to na wózkach, z tłumem innych więźniów. Ten pośpiech nieustanny, był także niewymowną męczarnią; ani wytchnąć, ani myśli zebrać. Z początku łudziła się nadzieją, że wojska Polskie ich gonią, ale nikt nie gonił; zrozumiała nakoniec, że to jest ucieczka złodziejska, przed *możliwą* tylko pogonią.

Czasem wprawdzie kazano zatrzymać się u brzegów lasu, przecież i wtedy myśl nie mogła odpocząć, bo wnet po bokach błyskały ognie podpalanych wiosek, spędzano szereg nowych brańców, i znów het, dalej na bezdroża!

Większa część niewolników składała się z chłopstwa; były tam jednak i żony i córki możnych obywateli, i starcowie rycerscy o bie-

luchnych włosach, i pańskie dzieci na wpół umarłe ze strachu.

Głodu, więźniowie nie doznali. Strażnicy, chcąc im dodać sił do szybkiego biegu, sutó im rozdawali jadło; zapasy po wsiach rabowane, szły w wielkiej części dla jeńców.

Ale nasza branka nawet jeść nie mogła. Ledwie czasem, z głodu, bezwiednie cós przełknęła. Kiedy inni więźniowie, całemi rodzinami pobrani, płakali razem, i pocieszali się wzajem, ona siedziała sama jedna, nieruchoma, oniemiała, prawdziwy posąg sieroctwa.

Dwa razy tylko wyszła z tego odurzenia.

Raz, kiedy pędzono przed niemi kupę jeńców nowo sprowadzonych, w natłoku, po białych wąsach poznała Marka, co był jednym z najpoczcziwszych domowników zamku Żegnanieckiego.

— Marku! I ty tu?—Wykrzyknęła.

Obejrzał się, wołając:

— Nieszczęście! Właśnie leciałem do Żegnania, kiedy mię złapali, dziś w nocy... I panielka tutaj? O nieszczęście!

Potém długo jeszcze cós wołał i rozpowiadał, ale już niemogła dosłyszeć, popchnięto go dalej.

Inną razą, siadła obok niej kobiéta, z twarzą dziwnie pokrajaną i źle zabliznioną. Ludmiła poznała jedną z owych zdrajczyń, co wprowadziły Tatarów do Witowa.

Odskoczyła ze zgrozą.

— O ty niegodziwa, czy Boga niemasz w sercu? Znam cię, znam aż nadto! Jak ty mogłaś tam do klasztoru naprowadzać pogan, i to jeszcze na twoje rodaczki?

— Ja nijak wam nie rodaczka, — odrzekła tamta swoją łamaną polszczyzną — ja z Połowców; tylko długo na ruskich ziemiach żyłam, to i gadam po ruskim języku. No, co było dziać? W lesie, pod klasztorem, Tatarzy umyślnie nas do krwi pobili, a potém nauczyli. abyśmy się do was tak a tak wprosiły. A my jeszcze niechciały. Wtedy zapalili wielki ogień, naleli wody w kocioł, a kiedy już ukrop zaczął się przewracać, wzięli nasze dzieci, i mówili: «Zaraz je tam wrzucimy, jeśli nie zrobicie tego co każemy.» Żaloso, ale cóż? Bóg dał teraz Tatarom panowanie, trzeba ich słuchać. My tak robimy u was, wy tak będziecie robili u innych.

— O nigdy, nigdy! — Szepnęła Ludmiła, i w myśli dodała:

— To nie może być prawdą co ta kobiéta gada..... Nie..... takie rzeczy niemogą się dziać pod słońcem.

I jeszcze głębiej oniemiała.

Dopiero czwartego dnia rano, kiedy cały tłum przyciągnął nad rzekę, co nosi złowrogą nazwę Czarnéj, przewodnicy zaczęli mniej przynaglać pochód. Już tylko dzień drogi dzielił ich od puszczy Strzemeskiéj; konie i ludzie, wszystko było śmiertelnie pomęczone, samym Tatarom już siły się wyczerpały. Nakazano trzygodzinny wypoczynek.

Ale wkrótce po wschodzie słońca, «karauły» czyli przednie straże nadbiegły, ostrzegając, że widać jakieś wojsko niezmiernie błyszczące.

Wieść, piorunem rozbiegła się między jeńcami.

— Nasi idą! Nasi!—Okrzyknięto zrywając się w upojeniu. Pomimo wszelkich gróźb i napominań straży, cały tłum nieszczęsnych ukląkł, i jednym głosem zaczął śpiewać:

«Święty Boże! Święty mocny! Święty nieśmiertelny!»

Archanioł.

Cud! W obecnych wojnach niewidziany cud!
Tatarzy rozgromieni! Tatarzy uciekają!

Był to istotnie wypadek nadzwyczajny, było to zwycięstwo zapалу nad strategją; zwycięstwo rzadkie, bo w rzeczach «tego świata,» sztuka i ścisły obrachunek, częściej wygrywają niżeli serdeczne uniesienie. A któż w trzynastym wieku, znał najlepiej tę sztukę i ten obrachunek, jeżeli nie chytry następca Dżyngischana?

Kiedy po stronie Chrześcijańskiej, najznakomitsi rycerze wyjeżdżali zazwyczaj na samo czoło wojska, w pełnej zbroi, z kopjami i tarczami, za nimi niższe rycerstwo w kolczugach, a dopiero na końcu pospólstwo, zbrojne w dziwaczno-kształtne maczugi, topory i berdysze, kiedy wszyscy szli jedną ławą, z jednym tylko hasłem: «Zawsze naprzód!» — u Tatarów przeciwnie: w pierwszym rzędzie pędzono ciżby najpośled-

niejsze, potem szły maszyny wojenne, a w końcu dopiero prawdziwi Mongołowie, grono przywódców, rzadko walczących ręką, ale mocno pracujących głową; ci najczęściej z jakiego pagórka spoglądali na szachownicę bitwy, rozsyłając rozkazy do przesuwania szyków. Nieco bliżej, świetniał zastęp tak zwanych «behadyrów», (z czego powstał nasz wyraz *bohater*;) ludzi wstawionych dziwami waleczności i wojennego dowcipu. Ci, pierwszą część bitwy zwykle przeczekiwali spokojnie. Dopiero, kiedy czoło nieprzyjaciół było już znużone i zniecierpliwione ubijaniem się z nędzną ale niezrachowaną ciężką, wtedy szereg «behadyrów» spadał z góry całą mocą sił jeszcze nietkniętych, a łucznicy rozsypywali się po bokach, i oskrzydłali przeciwnika, zawodząc to koło, najprzód wielkie, potem coraz krętsze, coraz ciasniejsze, którego sława, miała z czasem dojść u nas aż do przysłowiowej nazwy: «tatarskiego tańca.»

Ale dziś, wodzowie Mongolscy przerachowali się w mądrości.

Rycerstwo Polskie uderzyło z tak szalonym rozpędem, że wszystkie rachuby zostały omyłone. Po prostu, brakło czasu na ich wykonanie.

Ludmiła nic nie rozumiała, niczego nie była ewna. Od kilku godzin bitwa wre w koło niej,

a raczej przed nią, daleko. Całe wojsko pogańskie oddziela ją od samego pola walki. Ale ten przedział coraz węższy, krzyki i szczęki coraz bliższe.

Przy samym początku bitwy, strażnicy spędzili więźniów na jedną gromadę, i otoczyli ich taborem wozów, szczelnie powiązanych.

Z téj lekkiej, a jednak nieprzepartej warowni, jeńcy nic nie mogą widzieć, tylko ogromne kłęby pyłu. Chwilami, słońce się zaciemnia od chmury pocisków.

Aż przyszła chwila osobliwsza: całe owe tłumy pogan, dotąd plecami do brańców stojące, zwróciły się do nich twarzą,—pomimo zakazów, pomimo gniewu rozwścieczonych wodzów, szyki rozrywają się na kawały, — wszystko pierzcha, wszystko leci, gnane jakimś niehumanym strachem.

Kilku Azjatów skryło się pod wozy.

Inni uprowadzają wielbłądy.

Inni unoszą skrzynki z kosztownościami.

O jeńcach nikt nie myśli,—puszcza za daleko, nieprzyjaciel za blisko, aby pędzić tak niechętnych towarzyszków.

Już też i za późno! Tłumy Tatarskie, które niedawno były przed taborem, teraz już są za nim, hej daleko!

Tu na przodzie, pole się oczyszcza..... przez tumany kurzu już zaczynają przeblyskiwać tar-

cze z chrześcijańskimi godłami, powiewają kraśne proporce.

Najpierwszy, pędzi ku taborowi jakiś jeździec w pośrebrzystej zbroi, z błękitną chorągiewką chrześzczącą u kopji.

— O Boże! Czy mię oczy nie mylą?

— Branka zrywa się, wspina, wygląda po-za wozy..... Nie — oczy nie mylą — u nóg i u ręki złote łańcuszki świecą — serce nie omyliło — to on!

Stanął — spojrzął — i poznał.

Chcąc się dobić do jeńców, chcąc rozerwać wozy, młodzieniec zeskoczył z konia, dobył koncerza; i zaczął rozcinać sznury, wśród radosnego krzyku jeńców, którzy tłoczyli się, i niecierpliwie targali powiązane ręce.

Ale wtedy, trzech pohańców ukrytych między telegami, widząc że wybawiciel jest sam jeden, a pomoc jeszcze dość daleka, wyskoczyło z pod wozów. Pierwszy Kirgiz, drugi Ujgur, trzeci Połowiec. Wszyscy trzej przekonani że łatwo zmogą młodzieńca, po pierwszym skoku zdumieli się, jakby trafili na żelazną kolumnę.

Jeśli te wschodnie ludy celowały w bitwach szerokich, w konnych pogoniach i ucieczkach, za to przy spotkaniu oko w oko, gdzie człowiek

na prawdę mierzył się z człowiekiem, traciły swoją lotną wartość. Tu rycerz Europejski odzyskiwał przewagę; jego przytomność, wprawa nabyta w Turniejach i pojedynkach, jego idealna miłość sławy. nadawały mu lwią potęgę, w obec kociego skradania się łupieżców, co szli tylko z musu lub chciwości. A przytém, jego miecz ogromny i hartowny, zbliżka łatwo płał skórzaną ich ubrania, podczas kiedy sam rycerz, od stóp do głów okuty, stał jakby w żelaznej wieży, o którą noże i kindżały napróżno się krzywiły.

Wszystko to prawda, jednak tu trzech na jednego..... Ludmiła chce patrzeć.....

Co który przyskoczy, to rycerz się odcina, szybko, coraz szybciej..... Jego rynsztunek miga oślepiająco..... łańcuszki dzwonią..... miecze dzwonią.....

Oh! Teraz wszyscy trzej razem się rzucili..... Ludmiła już nie może patrzeć — głowę pochyliła na kolana, przymknęła oczy, i czeka..... Jak długo? Nie umiała-by powiedzieć, to razem chwila i wiek.

Naraz, szcęk ustał -- z pod stalowej piersi, odezwało się głębokie odetchnienie i słowa:

— A! Przecie.....

Te słowa, ciśnięte najwdzięczniejszym, nie-

zapomnianym głosem, otworzyły jój oczy. Spojrzała — i skamieniała z zachwycenia, pytając się, czy ona już przeszła do nieba, czy widzenie z nieba do niój schodzi?

Trzój wrogowie pobici, wzajemnie sobą przywaleni, wili się jednym kłębem kilkobarwnym, jakby potwór drgający w ostatnich podrygach, a Michał Przedwojowic stał nad nimi zwycięzko, z mieczem spuszczone ukośnie jakby piorun, ze zbroją świetlaną jak biała błyskawica, z głową złocistą jakby słońce, dziękczynnie ku niebu podniesioną,—zupełnie Archanioł Michał, zwalczający piekielnego smoka.

W obec takiej wizji, tylko patrzeć, patrzeć i modlić się.

Ludmiła chciała złożyć ręce, — nie mogła..... były spętane.

Ale już obraz cudowny się zmienia. Młodzian otrząsnął jasne włosy, rzucił się ku wozom, jednym zamachem je rozerwał, — już jest przy Ludmile, — już z troskliwą ostrożnością przecina jój więzy, w upojeniu całuje czerwone pręgi na jój rękach, upadł u jój kolan, wykrzyknął:

— Dzięki ci Boże!

A potem, znów się zrywa, biegnie do innych jeńców, rozdziera ich pęta, — uwolnieni pomagają mu w oswobodzaniu dalszych, ze

wszech stron idzie za nim jeden chór błogosławieństw.

Już téż i całe wojsko Chrześcijańskie, z tętentem i okrzykami nadbiega. Wszyscy rozwiązani—wszystkie ręce podnoszą się ku Panu Zastępów, i ku braciom wybawcom — krewni się poznają, roztwierają ramiona — znajomi i nieznanymi całują się ze łkaniem — zbytek szczęścia przybięra pozory cierpienia — kobiety dostają serdecznego płaczu—nawet niektórzy mężczyźni, wzięwszy się za głowę, krzyczą jakby od zmysłów odchodzili.

Ludmiła zdejmuje z piersi, starannie ukryty po-za suknią, drobnusieńki kluczyk, i przybiegłszy do młodzieńca, woła:

— Jeśli kiedy, to teraz! Wolność za wolność! Otwiera kłódki, złote okowy opadają.

Przedwojowic zbiera łańcuszki w rękę, i podając je Ludmile, głosem jakimś dziwnym, drżącym od wzruszenia czy przecucia, mówi:

— Weź..... weź najmilsza panienko..... Cokolwiek się stanie, zachowaj to..... na pamiątkę moją.....

Ludmiłę tknęła jakaś trwoga, także coś na-

kształt niedobrego przeczucia. Z wahaniem odrzekła:

— Kajdany? Zostawiacie mi kajdany?.....

I chciała odepchnąć złowróźebną pamiątkę, ale się powstydzila zabobonnej obawy, témbar-dziej że mnóstwo rycerzy, niedawnych świadków Turnieju, przyklaskiwało z uniesieniem ofierze młodzieńca.

Zanim się spostrzegła, już łańcuszki pozostały w jej ręku, a Przedwojowica, tłum odbitych jeńców obnosił tryumfalnie na ramionach.

W lesie.

Jednak starsi, doświadczeńsi, potrząsali głową i mówili:

— Nie bawmy się w te uciechy.... Tatarzy mogą lada chwila wrócić. Tu pole otworzyste jak na dłoni, pójdźmy lepiej w lasy. Tam będzie można do woli nagadać się i naweselić.

Takie słowa, po kilka razy rzucone między rzeszę, odnalazły się wnet na wszystkich ustach. Jak wielkie było zrazu oszołomienie radości, tak wielki teraz nastał popłoch. Na myśl, że raz jeszcze mogą wpaść w ręce pogan, jeńcy zerwali się jak jeden człowiek.

— W lasy! W lasy! — Krzyknięto.

Któs dodał:

— Tędy..... W stronę Krakowa!

Krocie głosów powtórzyły:

— Kraków! Do Krakowa!

I wszyscy, rozsuwając wozy, ruszyli ku stro-

55

nie południowo-zachodniej, gdzie długa, srebrna sieć lasów, szklila się od oślepiającej sady. Wszyscy szli bez ładu, starcy, niewiasty i dzieci, pomieszani ze swemi oswobodzicielami, od których za nic w świecie nie chcieli już odstąpić. Rycerstwo jednak, ile możności, trzymało się na tyłach, aby w razie napadu, zasłonić tłum bezbronny.

Ludmiła szła jedna z ostatnich, tuż przy koniu Przedwojowica. Rycerz spoglądał na nią jakimś wzrokiem przeciągłym, uśmiechał się niekiedy jakimś uśmiechem pół-bolesnym, a ciągle milczał. Czy ze zbytku szczęścia niemógł znaleźć słowa? Czy jaka myśl złowieszcza zasepiła mu duszę?

Na wyraźne zapytanie Ludmiły, zdziwionój tém osmutnieniem, wzdrygnął się jak człowiek znienacka przebudzony, przesunął rękę po czole i odpowiedział:

— O czém ja myślę? Ach, ja rozmyślałem coby to z wami było, gdyby nie nasza odsiecz? I czy to już koniec? Czy zawsze się tak uda? Ja, mogę zginąć..... Cały kraj może popaść w niewolę, jak już ich tyle popadło...

— E..... Po co sobie psuć tę szczęśliwą chwilę, takimi okropnemi myślami? — Odparła Ludmiła. — Ja ufam Niebu, i — mężtwu naszych rycerzy. — Dodała, uśmiechając się wdzięcznie do młodziana.

Właśnie wjeżdżano między pierwsze zagażenia leśne. I w samą porę łaska Boska doprowadziła tam naszych wyzwoleńców, bo ledwie nieco zagłębili się w puszczy, już tylna straż nadbiegła, donosząc że na polach, znów zaczynają krążyć czaty nieprzyjacielskie.

Wojewoda Włodzimierz kazał zawrócić konie, rycerstwo uszykował u granicy lasu, a ciurów pozostawił przy odbitych jeńcach, dla bronienia ich w razie złej przygody.

Ale jeńcy, jakby piorunem rażeni, rozlecieli się prawie wszyscy na bory na lasy, pędząc gdzie oczy poniosą, jedni gromadnie, drudzy pojedynczo.

Drobna tylko garstka pozostała się w pierwszych gąszczach boru, na umówioném stanowisku «pod trzema dębami.» Były to prawie same kobiety, z których każda miała wśród walczących kogós ukochanego, męża lub ojca, braci albo synów. Te, mimo wielkiej trwogi, chciały dotrzeć do końca bitwy, i dowiedzieć się o losie drogich istot, a pomyślny obrót porannego starcia, taką dawał otuchę, tak rozjaśniał serca, że dziewczęta już obłamywały i ze szronu otrząsały gałązki świerkowe, ażeby z nich układać wieńce dla zwycięzców.

I Ludmiła, — która pozostała między czekającymi — w krążek zgięła gałąź iglastą, a nie mając wstążki, ani nawet nitki, związała ją kilku własnymi włosami. Dopiero po zadzierzgnię-

ciu wężła, przyszło jój na myśl, czy to dobrze robić dla żywych, korony z drzewa śmierci? Nie chcąc jednak osmucać zgromadzenia, zamknęła w sercu tę obawę, i położywszy wieniec na kolanach, zamyśliła się, (może po raz pierwszy w życiu,) nad znaczeniem i tajemnicami śmierci. Rozmyślanie rzadkie u młodych. Trzeba ciężkich uderzeń losu, aby pękły zwierzchnie łupiny duszy, a dopiero wtedy wychodzi na jaw, dojrzałość albo próżnia jój owocu.

Czas mijał. Z początku, słyszano chrzęst hufców, szykujących się tuż pod borem. Chrzęst był coraz niklejszy, okrzyki coraz dalsze, w końcu wszystko ucichło.

Kilku śmielszych ciurów puściło się ku brzegom lasu, dla ułowienia nowiny.

Wracają z wieścią, że wojska już ani widać; musiało się okrutnie na równinach zapędzić. Słyszać wprawdzie wrzawę bitewną, ale gdzieś bardzo daleko, tam het! jakby aż za Turskiem.

Istotnie, nasi wojacy niedługo wytrzymali pod lasem. Wojewoda Włodzimierz chciał koniecznie tam czekać na nieprzyjaciela; twierdził że najlepsze takie stanowisko, puszcza z tyłu

obronne. Ale rycerstwo, upojone pierwszą wygraną, rwało się do natychmiastowej bitwy. Młodzież zwłaszcza, z Przedwojowicem na czele, dowodziła wodzowi, że cały pierwszy tryumf zawdzięczano jedynie gwałtowności natarcia, że trzeba korzystać z przerażenia Tatarów. Rzeczywiście, zdawali się onieśmieleni; co naprzód postąpili, to znów zawracali, niebacznie rozsypując się po bokach, wykrawając we własném wnętrzu coraz głębszą próżnię, jakby mieli już, już zerwać się na dwie połowy.

Powstał krzyk ogólny:

— Teraz ich przełamać! Przeciąć tego węża!

Przyszła chwila, w której wódz nie potrafił już oprzeć się prądowi zapалу, proporce zaszeleściły, i całe rycerstwo wichrem sunęło na pola.

Czas mija. Gromadka drży i czeka pod «Trzema dębami.»

Zmrok zapada. Śnieg pruszy. Wieńce znów pobielały.

Co to za łomot po lesie?

— Ktoś idzie.....

— Ach, może to kto z naszych?

Tak, idzie,—ale jakoś dziwnie..... Stąpa ciężko, nierówno, zatacza się jak człowiek pijany, macającymi rękami chwyta na oślep to jeden

pień, to drugi. Aż potknął się o zaspę śnieżną, runął, i rzerzającym głosem wyjąknął:

— Nieszczęście!

Gromadka zbiega się do koła.

— Co wam jest?

— Co się stało?

— Czy wy ranni? Gdzie?

A ten jęczy:

— Tu..... tu.....

I obu rękami chwyta pocisk, co mu z pod piersi wystaje na ukos. Szarpie go, chce wyciągnąć. O..... coś trzasnęło..... pocisk się nadłamał..... W téj chwili ranny tężeje, oczy mu na wierzch wyszły, cały wygiął się w kabłąk, i tak wyprężony, z otwartemi ustami, kona, niedokończony strasznej wieści.

Krótką niepewność! Już idzie ktoś drugi..... nie idzie ale pędzi..... gałęzie trzeszczą, gruda chrupie.....

Wpada człowiek bez hełmu, z włosem pozlepianym od śniegu. Na twarzy pomieszanie.

Obstąpili go wszyscy. On rękami daje niezrozumiałe znaki, łapie dech, i głosem przydławionym powtarza:

— Uciekajcie! Uciekajcie!..... Już gonią.....

— Kto? Tatarzy?

— Tysiące tysięcy Tatarów! Jeszcze świat nie widział takiego pogromu!

Między niewiastami powstaje skwiérk i zamieszanie. Jedne chcą uciekać natychmiast, na oślep. Inne, — zwłaszcza matki mające na polu bitwy synów — jeszcze się wahają.

Ludmiła z niemi trzyma. Chodzi od jednych do drugich, składa ręce, i błaga:

— Jeszcze poczekajmy! Choć chwilę..... choć troszkę..... Wszak widzicie? Coraz ich więcej wraca. Niechże i tamci wrócą. Już jeśli uciekać, to razem z mężami. Przy nich będzie nam i bezpieczniej. Nie ruszajmy się z pod tych dębów, bo jak raz się ruszymy, to już tam w puszczy nigdy nas nie odnajdą, a Tatarzyn każdą z osobna wyłowi.

Istotnie, naszych coraz więcej nadciąga. U tych późniejszych przybyszów, twarze mniej przerażone, w ubiorach mniej nieładu, widać że roztropniej się cofali.

Oto błysnął ogromny pancierz, wraca Krystyn z Niedźwiedzia, zły jak borsuk. Tupnął nogą, i krzyczy za pierzchającymi:

— Gdzie? Gdzie uciekacie? Kto was tu nastraszył? Głupie, stójcie! Pogoń poszła inną stroną. Siedzieć, i ani pisnąć, bo jak posłyszają, to i tutaj przyjdą.

— Ależ, na miłość Boską, niema żadnej pogoni!—Ozwie się stary Grabina, oburącz przytrzymujący głowę z której krew dziurkiem ciecze.

— Jakto, niéma pogoni? — Podchwyci ów bezhełmowiec. — A cóż nas tu przygnało? I ty sam, stary, przed kim że aż tutaj zmykałeś?

— Nie zmykałem, ale wracałem, bo Wojewoda kazał wracać na stanowisko w lesie. Wygrana czy przegrana, wszystko jedno, zawsze trzeba słuchać.

— Więc przegrana?—Powtarzały niewiasty, rwąc włosy i załamując ręce.

— Zupełna przegrana?

— Boże! Co to się stało?

— Jakże się to stało?

— Czy was czarami pobili, czy co?

— Oh, niepróżno to ludzie gadają, że z nich takie djabelskie czarowniki!

— Gadajcież..... co się stało?

Ale z mężami niełatwo było się dogadać, niełatwo było nawet wyrozumić, czy to jeden tylko hufiec został rozproszony, czy téż całe wojsko już rozbite?

Niektórzy, pełni gniewu, ciskali odpowiedzi krótkie i porywcze, a co dziwniej, wcale z sobą niezgodne, bo każdy sądził o wypadkach walki, według téj części bitewnego pola, na której sam rozdawał lub odbierał razy.

Inni, pożérani sromem i rozpaczą, zacięli się w milczeniu, którego nic nie mogło przełamać.

— Nie nudźcie mię dziewczuchy. — Syknał Krystyn. — Co się stało, to się stało. Otóż lepij

dałybyście mi szmatę, na obwinięcie téj nogi co mi piekielnie dokucza.

Niewiasty zrywają chusty z głowy, drą swoje suknie na płaty; krew tamują śniegiem i mchami. W obec tych ran skwiérczących, zapomniały o własnym losie.

Jednak nie wszyscy są ranni. Tak, u niektórych ciało zdrowe, ale dusze u wszystkich poranione. Jedni, wymachując rękoma, bijąc się po biodrach, krążą między drzewami, jak zwierz zamknięty w klatce. Drudzy rzucili się o ziemię i jęczą, a nikt niewie czy jęczą z bólu czy z boleści?

A ciągle przybywa tych zbiegów, i tych jęków, i tych sprzecznych doniesień.

Ziemięta już od kilku chwil przyszedł, a jeszcze ni spojrzzał ni przemówił. Jak siadł na kłodzie tak siedzi; twarz zatopił w szerokich dłoniach, a kark mu się trzęsie jakby szlochał. Może i szlocha? Dusze ówczesne, niby chmury gorącego lata, łatwo się gromem zapalały, lecz niemniej łatwo i we łyzy topniały.

Teraz, przetarł oczy, i wyjęknął:

— O nieszczęśliwy ty nasz kraju, co to z tobą będzie?

Potém, jak się zerwie a krzyknie:

— Po co my tu siedzimy? Wracajmyż tam! Jeszcze może wszystko da się uratować?

Kilku mu odmruknęło:

— A wracaj. Ratujsz. Szukaj wiatru w polu.
A bezhełmowiec dodał:

— I naradz się z tym osłem Wojewodą, co
tak mądrze poprowadził potrzebę.

— Łżesz! — Ofuknął Ziemięta. — Nie on
winien.

— A kto winien? — Zapytał gorzko jeden
z rannych.

To pytanie padło na serca, jak iskra na słomianą strzechę. Teraz dopiero nastąpił długo tłumiony wybuch. Wszystkie pięści się zacisnęły, wszystkie usta się rozwiązały, i naraz wyleciał grad złorzeczeń, narzekań, wzajemnych wyrzutów.

O! Temi najwięcej szafowano. Jak to bywa zawsze gdy sprawa źle pójdzie, każdy chciał okazać że sam jest nie winien, a winę zwał na drugich; temu wymawiał złą radę, tamtemu fałszywe zrozumienie rozkazu, innemu niewczesny pośpiech. W końcu każdy powtarzał:

— A mówiłem! Niechcieliście słuchać!

Wśród krzyżowania się głosów i rosnących ciemności, nikt prawie nie spostrzegł że nowa gromada niedobitków nadchodzi; było ich dużo, ale mnogość ta nie zwracała uwagi, bo szli kupą dobrze ściśniętą. Warto im się też było przyrzec; widziani zbliska, nie wyglądali już na niedobitków, ale raczej na pół zwycięzców; z oczu

im to patrzyło, że musieli ustąpić z pola bitwy porządnie, odcinając się do końca jak należy, i zasłaniając odwrót mniej wytrwałych współtowarzyszy. Teraz wprawdzie, maluje się na ich twarzach niezmierne znużenie, maluje się i smutek; jeszcze jednak stąpają krokiem pewnym, niektórzy nawet prowadzą ocalone konie.

Na czele idzie Wojewoda Włodzimierz.

Mógłby kto sądzić że idzie ze spuszczoną głową? Bynajmniej. Ten mąż serdecznie dzielny, otrzaskany z niestałością wojennego szczęścia, zdaje się rzeźwiejszy niżeli wszyscy inni.

Na widok zwaśnionej ciżby, dał znak nadchodzącym aby się zatrzymali. Posłuchał, potargał węża, w końcu, ruszywszy ramionami, wszedł na zamarżłe nasypisko, i tam oparty o pień dębu, ozwał się głosem takim gromkim, że mimo zgiełku, wszyscy go posłyszeli:

— A to co? Ciszéj, ciszéj, panowie bracia. Małoż to wam było rozlecić się jakby kury przed jastrzębiem, jeszcze teraz bijecie się na języki, jak baby z Krakowskiego targu? Proszę was mniej krzyku, i mniej tych oskarżeń. Kto winien? Wszyscy winni, a ja najwinniejszy.

Tu żelazną ręką uderzył się w piersi. Całe zgromadzenie przycichło, jakby makiem zasiał. Mówca ciągnął dalej:

— Tak, ze mnie pierwszy grzesznik. Wielki to grzech, kiedy stary słucha młokosów. Ale byłby jeszcze siedem razy większy, gdybym teraz ręce opuścił, i zaczął piszczyć: «O ja nieszczęśnik, już po wszystkiém!» Cóż u licha? Jedna jaskółka nie czyni wiosny. Dziś na wozie, jutro pod wozem. Jeszcze dzisiaj rano, kto był górą? My. Jutro, pojutrze, da Pan Bóg, znów nasza kolej przyjdzie. Tylko, trzeba zachować głowę tęgą, i jako ludzie mądre, skorzystać z nauzki. My jeszcze nieumiemy borykać się z temi piekielnikami. To tak jak ten myśliwy, co zawsze chadzał na dziki, niech-no mu raz przyjdzie spotkać się z niedźwiedziem, niewie sam nieborak co ma robić? Oczami strzyże ku ziemi, czy tam kłów nie widać? Potém, hyc! skacze na pieniek. A tu i Maciuś hyc do góry, zaczyna służyć jakby kundel, i obie łapy—o tak—pod boki mu wsadza. Oho, tu pieniek nie pomoże, tu trzeba zażyć innéj sztuki. Owóz, przy Boskiej pomocy, i my się z czasem tych sztuczek nauczymy, i kiedyś jeszcze będziemy ze smakiem ogryzali łapy Tatarskiego niedźwiedzia.

— Ba! I całą skórę zeń obłupim. — Wtrącił, już rozochocoony Ziemięta.

— A i owszem, byle nie teraz. Tę noc trzeba cicho przesiedzieć, aby nie narażać tych zacnych białogłów i panienek, co nam się w opiekę oddały, — a jak rozednieje, pociągniemy do Kaliny, albo i do Krakowa, gdzie nam przecie—

da Pan Bóg — więcej panów braci przybędzie. Mnie się widzi, że nasz ubytek w ludziach nie jest bardzo gruby, więcej było bieganiny niżeli rąbaniny. Strata byłaby dopiero wonczas przeraźliwa, gdybyśmy jak tchórze utracili serce.

Dobrze mówił Wojewoda; już temi kilku słowami wszystkim dodał serca. Dobrze zrobił że się pokajał, zaraz przestano szukać winowajcy. I straty słusznie ocenił: sporo było rannych, ale zabitych mało. Kiedy się obliczono, wszyscy prawie znaczniejsi stanęli na zawołanie. Zabrało tylko wielu młodych, owych co się to zapalczywie na sam przód wyrwali.

Brakło i Przedwojowica.

Ludmiła długo usiłowała wmówić w siebie, że młodzieniec jest w liczbie obecnych, tylko że ze wstydu i zgryzoty, nieśmie się pokazać ni odezwać.

Krążyła między ludźmi, zapytując nieśmiało:
— Gdzie rycerz Przedwojowic?

A dla upozorowania swojej troskliwości, dodawała:

— Gdzie nasz wybawiciel?

Inne branki, tknięte wspomnieniem jego niedawnéj przysługi, pomagały jéj w poszukiwaniach. Nawoływano go półgłosem, przyglądano się przechodzącym, wszystko napróżno. Prawda, że nikt nieśmiał głośniej huknąć po le-

się, a przy ciemnościach coraz głębszych, trudno było rozeznawać twarze.

Któs zapytał, czyby nie można rozpalić ogniska? Ale Wojewoda surowo zabronił, i odbici jeńcy jednogłośnie poparli jego zakaz. Każdy wolał kostnieć od zimna, niż zdradzić się przed Tatarami.

Jednak płonne były ich postrachy. Zwycięzca, choć zwycięzca, jak najprędzej się cofał.

Inne wojska, po wygranej, zwykle idą naprzód. Mongołowie, szukający nie tryumfów ale zdobyczy, rozbiegali się po każdym zwycięztwie jakby po najcięższej porażce, kryli się z najwyższą tajemnicą, i póty siedzieli w swych kryjówkach, dopóki cały kraj nie uwierzył, że już sobie poszli na dobre. Dziwiono się wtedy zazwyczaj niezaradności barbarzyńców, śmiało się z ich «głupoty.» Ale niestety, śmiech był krótkotrwały! Kiedy wojska Chrześcijańskie, zniecierpliwione próżnym wyczekiwaniem, ruszyły się nakoniec, aby w innych okolicach szukać zaginionych najeźdźców, kiedy mieszkańcy, fałszywie uspokojeni, zaczęli już powracać do swoich pustych domów, przypędzać napowrót wprowadzone bydło, i wydobywać pozakopywane dostatki, wtedy zwycięzca spadał znów jakby piorun z pogodnego nieba, i wśród rozbrojonej ludności, bezkarnie rzucał się na łupież.

I teraz, wedle rozkazu starszych, całe pogaństwo cofnęło się ku Strzemeskiej puszczy, i tam wpadło «jakby kamień w wodę,» rozpuszczając tylko po bokach kilka luźnych zagonów, które dla zmylenia poszlaki, kręciły się w niezrozumiałych, odwrotnych sobie kierunkach.

Przy tym ich odpływie ku wschodowi, dostęp do Krakowa pozostał swobodnym.

Tak to, w kraju *Polo*, rozegrała się owa «bitwa o której wiedzą i Chińczycy.» Prawdę mówiąc, były to dwie bitwy: przed wschodem słońca, Tatarzy w rozsypce,—po jego zachodzie, nasi rozgromieni. Każda strona miała czém się pochlubić, i nad czém łzy ronić. Jednak łzy Tatarskie musiały być mniej gorzkie niż u naszych bo kto wygrał ostatni, ten wygrał na prawdę.

O pierwszym świcie, Wojewoda rozesłał ludzi na granicę lasu. Wrócili donosząc z podziwieniem, że Tatarów «ani widu, ani słyhu.»

Rozpuścił gońców dalej. Ci także donieśli że Tatarzy zginęli, przepadli, jakby ich nigdy nie było.

Tymczasem Ludmiła, przy świetle brzasku, przeglądała twarze obecnych. Nie znalazła Przed-

wojowica, ale znalazła inną dawną znajomość: Sulisława.

Wczoraj, w jednego tylko zbawcę zapatrzona, nikogo więcej nie widziała. Dziś, bystrzejsze były jej oczy. Ach, jak radośnie, jak serdecznie się przywitali! W podobnej chwili, wszystkie niechęci nikły, urazy szły w zapomnienie.

Pierwszém jej pytaniem było:

— A gdzież Elżbieta?

— O! — Spokojnie odparł Sulisław. — Ona już dawno musi być w Krakowie przy królowej, albo we Wrocławiu przy bracie. Na pierwszą wieść o Tatarach, dawno temu, jeszcze przed bitwą pod Opolem, wysłałem do niej człowieka, z rozkazem aby wyjeżdżała.

Ludmile stańło na ustach pytanie:

— Kogo wysłał? Czy przypadkiem nie Marka?

Ale w tej chwili przerwano ich rozmowę. Sulisław odebrał zawezwanie od Wojewody, który chcąc raz jeszcze zasięgnąć wiadomości o ruchach nieprzyjacielskich, wysłał go na zwiady ku granicom lasu.

Jednak, dzień już był zupełny, a Przedwojowica nikt jeszcze nie widział. Pocieszano Ludmilę przypuszczeniem, że część niedobitków mogła ująć innym szlakiem. Ale te słowa nie budziły w niej wiary. Wszak na samém rozstaniu, kilka razy powtórzyła młodzieńcowi:

— Ja będę czekała tutaj, pod trzema dębami.

Mógł-że by zapomnieć? Mógł-że by ją w tak okropnej godzinie opuścić? Nie! Gdyby tylko żył jeszcze, już by dawno stał przy niej na straży, jak anioł. Chyba że.....

Tu nagle chwyciła się za serce, i krzyknęła:

— A więc zginął? Musiał zginąć! Trzeba szukać..... Idę.....

I pobiegła w stronę pobojuwiska.

Za nią poszło kilku—potém znowu kilku—coraz więcej—aż wszyscy wyciągnęli z lasu ku żałobnym polom.

Na pobojuwisku.

Na pobojuwisku niewiele ciał leżało.

Tatarzy odebrawszy rozkaz cofania się do puszczy, przy zwykłej sobie karności, nie bawili się w odziéranie trupów nieprzyjacielskich, ale tylko co żywo pozbiérali swoich własnych umarłych, zwłaszcza ukochańszych i przedniejszych, ażeby ich przechować dla Azjackich grobów, bo ci ludzie, na pozór pozbawieni wnętrzości, mieli przecie szaloną miłość do swojej ziemi. W zbrojnych wędrownkach od ludu do ludu, choćby na samych krańcach świata, pierwszą ich myślą po bitwie, było zbiéranie poległych. Nie umieli ich balsamować, ale pokrajawszy zwłoki, gotowali je kawałkami w jakimś tajemniczym rozczywie, który je nieźle chronił od zepsucia. Tak zabezpieczone i szczelnie upakowane szczątki, kładli na telegi, i przez tysiące mil wieźli, wieźli, aż do stepów

Mongolji, aby tam dopiero pochować je w ojczystej ziemi.

Trupów Chrześcijańskich także było niewiele. W pierwszej nawet chwili zdawało się że ich wcale nie ma; śnieg całonocny utaił je pod białym całunem. Powoli jednak dopatrzono jeden, drugi, dziesiąty, wszystko prawie najśliczniejsi młodzieńcy, kwiat przyszłości.

Ludmiła stawała przy każdym zwłokach, schyliwszy się, szepnęła z radością:

— To nie on!

I szła dalej.

Nagle, stanęła jak wryta. Z pod śniegu sterczała haftowana, szkarłatną wstążką sznurowana, jej własna manela. To jego hełm. To on.

Leżał nieruchomy, śnieżnym żgłem zasuty, z twarzą zastygłą, ale uśmiechniętą, owym dziwnym uśmiechem śmierci, co zdaje się już wywołany widokiem lepszego świata.

Był to ostatni z pomiędzy trupów. Przedwojowic, jak widać, najdalej się zapędził.

Ludmiła nie mogła ustać. Siadła na śniegu przy zwłokach, i długo myślała — nic nie myśląc. Snuła jej się tylko po głowie, chęć osobliwsza w takiej chwili, dziecinna, i razem anielska: miała niewymowną ochotę złożyć pocałunek na marmurowém czole oblubieńca, a nie śmiała;

mnóstwo świadków kręciło się koło niej, inni stali przy zwłokach, żałując poległego.

Nie rozumiała w tój chwili, co to za ludzie, i po co tu przychodzą? Ale jakiś postrach paniński powstrzymał jój usta, — myślą tylko przesłała pocałunek, pierwszy i ostatni, — wieniec świérkowy na hełm jego włożyła, i podniosła ku niebu spojrzenie wyrzutu.

Jeżeli duch Przedwojowica krążył na tych miejscach, musiał się uśmiechnąć i szepnąć:

— Cóż wyrzucasz niebu? Dało mi same łaski: krótką, ale najpiękniejszą porę życia, — i wczesny, ale najpiękniejszy rodzaj śmierci.

Istotnie, cóż chlubniejszego dla rycerza, jak zginąć w obronie swojej wiary, swojej ziemi, i pani swoich myśli?

Chwała jego nawet, szczęśliwym a rzadkim trafem, ocalała z ciszy zapomnienia, która zazwyczaj pochłania tyle walecznych imion. Dziś jeszcze na kartach Kroniki, czytamy te krótkie słowa, co starczą za najdłuższą mowę pogrzebową:

«.....Gdzie między inszemi zabit młodzieniec osobliwy, gdy sobie dobrze poczynał, Michał Przedwojowic.»

Ale cóż Ludmiłę obchodziła chwała? Cisnęła niebiosom gorzkie zapytania:

— Po co obiecywałyście tyle szczęścia, aby wszystko w jednéj chwili wydrzec jakby na pośmiewisko? Za co ta kara, doprawdy niezasłużona? Bo przecież ani on ani ja, nie zawiniliśmy

tak bardzo w niczém? O! Czyż może być większe nieszczęście?

Ale w tejże chwili, głos wewnętrzny zawołał na nią, z rodzajem troskliwego postrachu:

— Nie buntuj się..... Nie sądź nieba, ażeby ci nie pokazało, że mogą być jeszcze większe nieszczęścia.

Ludmiła czuła że ten głos jest w niej, a nie jest nią samą, że ten głos wie nierównie więcej niż ona,—spuściła głowę, i dwie łyzy do jej liców przymarzły.

Tymczasem, w koło niej wirował ruch cichy. Uratowanym jeńcom pilno było uciekać ku stolicy, i rycerstwo ich nagliło w obawie nowego napadu; jednak nie mieli serca odejść nieboszczyków bez pogrzebu, choćby najprostszego. Zaczęto znosić trupy. Kilku pachołków skoczywszy ku wiosce, która jeszcze nie była do szczętu zniszczona, przyniosło ztamtąd rydle; rozmieciono nieco śnieg i ziemię, zwłoki rzędami układano, przysypując je lekko, i wkrótce narosł mały, płaski kopiec, na który padły owe wieńce panieńskie, co miały zdobić szyszaki zwycięzców.

I Przedwojowica dwóch ludzi wzięło Ludmile z przed oczu. Zerwała się wołając:

— Gdzie go zabiéracie? Gdzie?.....»

— A no cóż? Chcemy go pogrzebać. Czy lepiej żeby go kruki zjadły?

Nic nie odrzekła, tylko prosząc o chwilkę zwłoki, zdjęła z jego szyi ową chustkę prześliczną, którą wiernie nosił od chwili Turnieju; łzami skropiwszy, zawinęła w nią złote kajdanki, i starannie, nabożnie, ukryła za suknią.

Już go nie widać, -- już grudki ziemi roztrzęsły się po rynsztunku, ach! i po obliczu.....

Inne niewiasty odciągają Ludmiłę.

— Idź z nami, uchodź,—mówią.—tu już nie masz co robić, będziesz miała dość czasu później na płkanie.

Ludmiła bezwładna, bezwiedna, daje się pociągać, już odchodzi,—kiedy nagle, stanęła i słucha: jedyne słowo co jeszcze mogło trafić do jój serca, imię «Elżbiety» kilkokrotnie powtórzone z boleścią, z rozpaczą, tuż przy niej zabrzmiało, i wywiodło ją z osłupienia.

Co koń wyskoczy!

O kilka kroków dalej, Sulisław stał nad jakimś trupem, załamywał ręce i wołał:

— Moja żona! Moje dziecko! Co się tam stało z Elżbietą? Z Jasiem?

Ludmiła poznała kto leżał: to był Marek zabity. Z błyskawiczną pojętnością serca, uchwyciła nic wypadków. Podbiegła, pytając:

— Więc to on był wysłany? W drodze Tatarzy go wzięli..... Ona nic niewie!

— Tak, ona nic niewie! — Powtarzał Sulisław. — A tam już pewno poganie plądrują! Ludzie mówią że już Sandomierz wzięty..... A ja jeszcze, nieszczęsny, tak ją zaklinałem, aby się nie ruszała nigdzie bez mego pozwolenia! To wszystko szło tak nagle..... Któż mógł przewidzieć? Z początku miałem nadzieję że on dopiero w powrocie został wzięty, ale nie, oto na je-

go rękę znalazłem sygnet, ach ten który miał zawięzić jako znak odemnie..... Jest, ledwie go ściągnąłem ze sztywnego palca..... Oh, że téż ten człowiek dał się złapać! Ona tam czeka..... w takich puszczech! O niczém niewié, a jeśli się dowié, to może już za późno.....

— Cóż tu robić?—Przerwała mu Ludmiła.— Trzeba przecież coś robić..... kogós nowego posłać..... może jeszcze czas.....

— Ale kogo? Kogo?—Pytał Sulisław.—Ja przecie nie mogę opuszczać chorągwi? Cóż-by się to działo, gdyby wszyscy mężowie i ojcowie rozlecieli się do swoich domów? A któż się tu zmiłuje? Kto chce jechać do Żegnańca? Ostrzedz moją żonę, aby co najprędzj uciekała?

Mówiąc, oglądał się błagalnie, ale wszyscy odstępowali, udając że nie słyszą, albo nie rozumieją. Rycerze nie mogli odbiegać swego znaku, giermkowie nie chcieli odbiegać rycerzy, a jeńcy odbici? Oh! ci za żadne skarby świata, nie puściliby się w strony zagrożone od pogan, już stopy ich paliły do ucieczki na zachód.

Wtedy Ludmile oczy zabłysnęły.

— Uspokój się nieszczęśliwy ojcze, ja polecę. Może jeszcze zdążę, tylko dajcie mi dobrego konia.

Sulisław pochwycił jój obie ręce, i całując je z uniesieniem, wołał:

— O święta panienko! Ty mię wybawiasz.

Ty mi życie wracasz. Ale czyż to być może? Ty przecie sama się musisz ratować?

— Po co ja się mam ratować? Dla kogo? Elżbieta już jest jedyną drogą istotą, jaka mi na świecie została. Jeżeli ją mam ocalić, o! to wtedy jeszcze warto żyć.

I rozplómięta, rozgorączkowana, rwała się do drogi. Tak, nowa boleść ocuciła ją z pierwszej. Nieraz człowiek co omdlał od bólu jednej rany, przy powtórném dźgnięciu, niespodzianie powstaje,—wstaje i zaczyna się bronić.

Ludzie kręgiem otoczyli Ludmiłę, zdziwieni, rozczuleni odwagą, na którą sami nie mogli się zdobyć.

— Ale jakże trafisz przez te lasy? — Pytał pomieszany Sulisław. — Ach, już wiem! Dam ci mego konia, on z końca świata znajdzie drogę do Żegnańca, on cię wichrem zanieś. Ja mam z sobą jeszcze dwa inne konie. Hej! Dawać tu bułanego!

Wtedy jeden z dworzan Żegnanieckich, Felis, ów pazik z figlarnemi oczami, który pielgrzymą wprowadzał na Zamek, wysunął się mówiąc:

— Oh! To i ja pojedę. Przecież niepodobna panienci samój puszczać?

Sulisław aż uściskał pazia. Młodziankowi żal było wprawdzie porzucać pole chwały, gdzie mógł się dosłużyć srebrnych ostróg giermka, ale

stać się opiekunem białogłowy, ba! i jeszcze takiej, wszak to także chluba?

Ludmiła bez wahania przyjęła konia, towarzysza, wszystko co chciano. Po co na próżne słowa marnować choćby jedną chwilę? W drogę, w drogę, prędzéj!

Wsiadła na konia. Jeden z obecnych, zdjęty współczuciem, rzucił na nią własny płaszcz z ciepłym kapturem. Polecieli..... już ich nie widać.

Bułany dobrze zna drogę, ani się zawaha. Przez resztę dnia podróż idzie łatwo, kraj niezbyt jeszcze zarosły, nigdzie nie widać bójki ani rabunku.

Pod wieczór droga staje się trudniejsza, wjechali w gęste bory. Z początku, przez białe gałęzie, gwiazdy iskrzą się nad niemi z zimową rzęśistością. Powoli, niebo staje się różowe..... o! nie różowe..... czerwone, okropne. Po prawej stronie ogromna łuna, — za niemi także łuna. Obejrzelі się, i znów pędzą. — Niekiedy im się wydaje, że słyszą dalekie, bardzo dalekie krzyki. Przez chwilę posłuchali, — i znów pędzą.

Kilka razy konie ustały; z żalem zsiadli, szron otrząsnęli z ubrania, napili się śniegu roztopionego w ręku, chwilka wypoczynku, i znów jadą.

Nad ranem łuny znikły. Czy istotnie już

je zostawili za sobą? Czy tylko światło dzienne je rozproszyło? Trudno to rozróżnić.

Od kilku godzin słońce wstało; Ludmiła przymruża oczy, zmęczone od brylantowego migotania gałązek; aż oto, rozwarła je szeroko, i ręką przysłoniła powieki, aby lepiej wpatrzeć się w oddal. Tak,—wzrok jój nie myli, już widać Żegnaniec! Nad rzedniejącym lasem, rysuje się na niebie szczyt najwyższej baszty.

Paź zawołał z radością:

— Dojeżdżamy! I na czas! Bo tylko uważajcie, tu jeszcze spokojnie, żadnych łun, żadnych krzyków. Oh! Co za szczęście!

Ludmiła nic nie odrzekła; myślą była zatopiona w przeszłości. To miejsce tyle jój przypomniało! Kiedy przed kilku miesiącami, wspólnie z Elżbietą opuszczała Żegnaniec, truchlejąca o pozwolenie królewskie, marząca o Przedwojowicu, wtedy—o! dobrze to pamięta,—na témże samém miejscu, raz jeszcze obejrzała się ku zamkowi, i tak samo dostrzegła szczyt najwyższej baszty. Mignęły jój w duszy słowa Ojca Pawła:

«Ach gdybyście wiedziały co was czeka, nie troskałybyście się o dzień dzisiejszy.»

Oczekiwanie.

Elżbieta na zamku Żegnanieckim liczy dni pełne tęsknoty i niepokoju.

Za powrotem z Krakowa, spędziła kilka tygodni takich pogodnych i dobro-wróżebnych! Mąż, ucieszony mądrém przeprowadzeniem sprawy, rozczulony skromnością małżonki, nie dając jej mu uczuć znaczenia téj przysługi, cały ztopniał w rozrzewnieniu. Zapomniawszy o łowach, o gospodarstwie, o bożym świecie, między żoną a dzieckiem pędził wszystkie godziny, pełne uśmiechów, tkliwości i dziecinnych igraszek. Dawne szczęście wróciło do «zażegnanych» murów; co mówię? Nigdy nie płonęło tak jasno. Nigdy jeszcze Sulisław nie był tak dobrym, tak niewymownie złagodniałym.

Ale pewnego dnia, pokazał się pod zamkiem konny posłaniec, z pękiem wici gorejących na lasce, stanął w pośrodku dziedzińca, przed

panem zamku i zebraną czeladzią ogłosił Sejm w Kalinie, gdzie:

«Sulisław, pan na Żegnańcu, ma stawić się w pełnym wojennym ochędóztwie, aby z królem Jegomością i panami bracią radzić nad nieprzepieczęństwem od Tatarów» —

Odetchnął, i wypiwszy strzemiennego, pobiegł dalej.

Pan zamku, rad nierad, musiał się oderwać od ciepłego komina, od cieplejszych serc rodzinnych, i w kilka dni później, opięty nieźwiedziem futrem, na swoim bułanym koniu, wyjechał z giermkim wiozącym jego zbroję, i z pocztem stosownym do swojej pańskości.

Ale nim wyjechał, dziesięć razy rozpowiedział wiernemu Rupertowi, jak ma pilnie strzedz zamku, dla krążących «Mazowieckich rabusiów.» Mówił tylko o rabusiach, w duszy jednak miał inną jeszcze obawę, drżał aby Zyndram, dowiedziawszy się o jego wyjeździe, nie nadbiegł i nie szukał zemsty. Żonie jednej zwierzył się z tą obawą, zaklął ją na wszystkie świętości, aby ani sama, ani z dzieckiem nie wydalala się z zamku.

— Mam w Bogu nadzieję — mówił — że nie długo na mnie poczekaś; wszystkie te groźby Tatarskie, skończą się pewno, jak i dawniej, na strachu. Gdyby wszakoż jakie złe na prawdę groziło, wonczas przyślę ci kogo z ostrzeżeniem, a dla lepszej wiary, umówmy między sobą znak takowy, naprzykład oto ten mój sygnet. Jeżeli

wysłańcie ci go przyniesie, wierz mu i zrób wszystko co ci powie odemnie, inaczej nie dowierzaj, najłatwiej wpaść w zasadzkę.

Pomimo śniegów, Elżbieta odprowadzała męża po ścieżce aż do stóp góry, i mały Jasiek uczepiwszy się za ojcem na koniu, w żaden sposób nie chciał go opuścić. Żałosne było pożegnanie, żałośniejsze nawet niż okoliczności dotychczas nakazywały, ale takim jest serce ludzkie; Elżbieta nie mogła dać sobie rady; była to istota na wskrós przecuciowa; często spokojna gdy inni się troskali, dziś przy ogólnym spokoju. troskała się nad miarę.

Kiedy mąż oglądał się jeszcze na zamek i mówił:

-- No cóż, przecież wróce, czyż ci tak źle w tym kochanym Żegnańcu?

Ona z niezwykłą żywością potrząsnęła głową i rzekła:

-- Nielubię nazwy tego miejsca..... kasztel dobry i przytulny, ale imionisko nie dobre..... Mój najmilszy mężu, przezwij jakoś inaczej ten dom i tę górę.....

— Dobrze, dobrze, jak wróce, to wszystko przezwiemy.— Odrzekł Sulisław, niby śmiejąc się, niby rażno, jednak w oczach miał także niepokój, bo już nieraz doświadczył prawdziwości przeczuć

swojój żony, i dzisiejsza jój troska udzielała mu się coraz mocniej.

Na krzyk dziecięcia, wrócił raz i drugi; z konia przechylony, całował Jasia, którego matka podnosiła ku niemu, a potem całował ręce i usta Elżbiety, i znów dziecię, i znowu matkę, zawsze równo, bo Chrześcijański Hektor, miał serce nie tylko dla Astjanaxa, ale i dla Andromaki.

Po raz trzeci, wstyd ludzki niepozwoił już wracać. Sulisław nasunął czapkę na oczy, i co żywo puścił się ku borom, gdzie niedługo cały orszak zniknął po-za grubą płataniną gałęzi obwisłych od śniegu.

Elżbieta wracała pod górę, niosąc Jasia na rękę, by jego małe nóżki i błękitne ciżemki nie dotknęły zamarzłej ziemi. Kazała bronę spuścić, strażę podwoić, i odtąd zaczęła pędzić dni samotne, przerywane tylko rozmową z Kapelanem, i nieskończonemi pieścizotami z dziecięciem.

Dziś zwłaszcza wstała niezmiernie smutna. Wprawdzie oprócz przeczuć, nastraszyły ją i zadziwiające wieści.

Przed kilku dniami, drwale przejeżdżający z drzewem i smołą, opowiadali że Tatarów już gdzieś widziano, że nawet podobno była wielka bitwa, ale kto wygrał, niewiadomo.

Opowiadania ich wszakże przedstawiały pełno sprzeczności; zresztą, wszystko to słyszeli je-

dynie od staréj Piotruchy, żebraczki co słynie jako czarownica, i lubi straszyć ludzi piekielnymi bajkami.

Elżbieta myślała sobie:

— Może Zyndram nasłał tych ludzi, aby mię z domu wywabić? Nie, to nie może być prawda, mąż byłby mi już sto razy przysłał ostrzeżenie. Przecież jeszcze nawet ostatni dzień Sejmu nie upłynął? Jakżeby to wszystko mogło stać się tak prędko? Trzeba czekać i wytrwać w posłuszeństwie dla męża.

Jednak wysłała najzręczniejszego ze sług dworskich na wywiady. Był to chłop mocny i nie w ciemię bity.

Onegdaj pojechał, dziś go jeszcze niéma, co to znaczy?

Okropna rzecz tak mieszkać za lasami, za górami! Póki w kraju spokojnie, póki wszyscy razem, to niéma co powiedzieć, święte życie; ale za każdą wojną, za każdym rozdziałem rodziny, a na domiar w zimie, kiedy świat jakby deskami zabity, oj! ciężka bywała dola naszych prababek!

A dziś jeszcze, do wszystkich trosk zwyczajnych, czysto-ludzkich, przyłączyła się i niezwykczajna,—może śmieszna..... xiądz Kapelan pewnie by za nią złajał, ale cóż poradzić kiedy i ona straszy?

Elżbieta wie, że ile razy śnią jéj się *wielkie wody*, to niezawodna wróżba jakiegóś zgryzoty;

a nigdy nie śniły jój się tak wielkie jak téj nocy; i jeszcze w jakim przerażającym obrazie! Śniło jój się rozbicie okrętu, na którym płynęła z mężem, z dzieckiem, z królową Kingą, z Xięciem Henrykiem, ach kogóż tam nie było? Przemignęła się tam kilka razy i Ludmiła, którą Elżbieta przyzywała, a nie mogła dogonić. Nagle, wśród piorunującego łoskotu, okręt się pod nią rozstał,—ona, cisnąc Jasia na łonie, już zaczęła opuszczać się w zimną ciemnicę, kiedy Ludmiła, przyczepiona do złamanego masztu, podała jój drugi jego koniec. Wszyscy w koło nich gdzieś nikli, jedni tonęli, drudzy na małych łódkach uciekali, a nikt nie słyszał ich krzyku, nikt nie chciał ich z sobą zabrać. Nakoniec, przemknęło maleńkie czółenko, po brzegi nabite ludźmi, pomiędzy któremi spostrzegła twarz swego brata, Xiędza Macieja, który uśmiechał się jak zawsze. Wyciągnął do niej ręce, ona rzuciła mu Jasia, sama chciała także przyczepić się do czółna, tylko pierwój zwróciła jeszcze głowę ku Ludmile, wołając: «Ratuj-że się, ratuj! Patrz, oto czółno!» Ale kiedy chciała tam skoczyć, już czółenka nie było. Czarne bałwany rosły do czarnego nieba, maszt się między niemi przełamał,—wtedy objęły się rękoma i leciały w przepaść bezdenną,—aż z postrachu Elżbieta się przebudziła, drżąca, obłana zimnym potem, jakby w śmiertelnój gorączce.

Z początku ucieszyła się niezmiernie że leży

w komnacie swego zamku, za swemi zielonemi kotarami, jednak nie mogła już zasnąć.

Rano, zastała czeladź szepcąca niespokojnie. Strażnik wieżowy, od wschodnio-południowej strony widział przez całą noc wielką łunę. Widziano jak z lasów, chmury ptastwa unosiły się i leciały na zachód, jakby gnane jakimś postrachem. Czy ten pożar je przepędzał? Ale cóż to musiał być za pożar, żeby aż w powietrzu robiła się trwoga?

Elżbieta powiedziała sobie:

— Jakieś niebezpieczeństwo grozi..... Czuję to we śnie i na jawie. Obiecałam że nie ruszę się z zamku, — ale tylko patrzeć wieści od męża..... Na wszelki wypadek trzeba się pakować..... lada chwila przyjdzie nam wyjeżdżać.

Kazała więc dziewczkom służebnym napełniać podróżne skrzynie, po raz dziewiąty i dziesiąty napróżno spytała «czy nie wrócił wysłaniec?» Nakoniec, zamknęła się w głównej sali, dla upakowania swoich kosztowności.

Była tam kryjówka, o której nikt nie wiedział tylko sami posiadacze zamku. Z ojca na syna przechodziła wiadomość o niej, bardzo ważną w czasach, kiedy ludzie nie mieli banków ani hipotek do zabezpieczenia majątku, i całe swoje mienie trzymali w gotówce lub klejnotach. Wieczną troską ówczesnych bogaczy, było ukrycie skarbów przed oczami złoczyńców i nieprzyjaciół. Najczęściej zakopywano je w ziemi. Szczęśli-

wy kto miał jaką skrytkę, o której nikt inny nie mógł wiedzieć!

Dziad Sulisława, ów rycerz Krzyżowy, co z Henrykiem Sandomierskim jeździł do Palestyny, budując Żegnaniec, przystosował sekret bardzo cenny, który widział w jakimś pałacu wschodnim. Tam on był na większą skalę wykonany, służył pewnie do jakich tajemnic haremowych albo magicznych; tu, pan zamku naśladował go w mminiaturze.

Kryjówka znajdowała się w owój głębokiej framudze, która była ulubioną siedzibą Elżbiety. Mur ogromny, u góry szarzał jednostajnością kamienia, ale na wysokość człowieka, obity był dębami deskami, dodającemi nieco ciepła, a w każdym razie ozdoby, gdyż drzewo sterczało kunsztowném wyrzynaniem. Jedna z deszczulek, w pewien sposób naciśnięta; zwolna się odchyłała; z cierpliwością, można ją było zupełnie wysunąć. Za nią rysowała się istna łamiągłówka z różnokształtnych kamieni, którą tylko człowiek dobrze świadomy rzeczy, mógł rozebrać i napowrót złożyć. Za tą kamienną zagadką, czerniały drzwiczki żelazne, zamknięte nie na klucz, ale po staroświecku na węzeł, bardzo trudny do rozplątania. Za drzwiczkami nakoniec, ukazywała się kryjówka, suchuteńka, bo wykuta w jednej bryle granitu, i zewsząd grubą blachą wyłożona.

Dziad i ojciec dzisiejszego właściciela, tak

ściśle przechowali tajemnicę, że nawet żonom swoim jój nie powierzyli, twierdząc jakoby «na milczenie białogłowy nie można rachować.» Ale Sulisław nadto cenił Elżbietę, aby cokolwiek przed nią taić. Nieraz téż, wyjeżdżając na wojenne wyprawy, mówił sobie: «A gdybym nie wrócił, cóżby się stało ze skarbczykiem, który przechowuję dla Jasia? Przepadłby na całe wieki, i chyba kiedyś z gruzów został odgrzebany.»— Więc pokazał żonie kryjówkę, nauczył ją sposobów otwierania, i skarbczyk pilnie polecił jój pieczy.

To téż ile razy Elżbieta chciała zajrzeć do skrytki, zawsze sama w sali się zamknęła, zaryglowawszy szczelnie wielkie drzwi od sieni, i małe drzwi prowadzące do sypialni. Nawet Jasiowi wtedy kazano wychodzić, bo choć był jeszcze bardzo mały, roztropna niewiasta wiedziała jak dzieci mają bystre oko, i jak przekornie umieją wygadać się wtedy właśnie, kiedy najwięcej trzeba milczyć.

Dzisiaj, dla śnieżnej zawiei nie mogąc Jasia wyprawić na dziedziniec, kazała mu się bawić w sypialnej komnacie, a sama zewsząd pozamykawszy salę, otworzyła kryjówkę, przyniosła niewielki sepecik o wypukłym wieku, cały z ciemno-czerwonego cisowego drzewa, gwoździemi nagwiazdkowany, od okuć świecisty, i zaczęła do niego składać przedmioty wyjęte z kryjówki. Były tam pargaminy rodzinne, była szkatułka

prześliczna, podobna do kościołka, z daszkiem śpiczastym, błękitno-omaljowanym, pamiątka po matce, którą Elżbieta przywiozła z wyprawą, i gdzie chowała swoje klejnociki, pierścienie, łańcuszki, kolce. Głębiej były garczki i worki z pieniędzmi.

Długo się namyślała, czy wszystko zabiierać? Wszystko, to i trudno i nieprzezornie. Podróźni łatwo mogą być w drodze napadnięci, złupieni. Zawsze pewniej w domu zostawić, bo przecież kiedyś wróci się do Żegnańca? Nikt o skrytce niewie, skarbczyk nie zaginie.

Wzięła więc tylko tyle, ile jej się wydawało potrzebnem na podróż, jeden woreczek pełen różnej monety. Potem zwróciła się do stołu, gdzie także leżały różne przedmioty drogocenne; xięga z Żywotami Świętych, o! z tą ani na jeden dzień rozstawać się nie można, niech więc idzie do sepeciku. A klepsydra? Wszędzie się przyda do mierzenia godzin niepokoju, więc także, owinięta w chusty, zaległa naroźnik skrzynki. Hafty swoje zwinęła, krośna rozebrała, poszło i to wszystko.

Na opróżnionym stole, już tylko jeden pozostawał przedmiot, czarka gliniana, gdzie w świeżej wodzie roztaczała się Róża Jerychońska.

Zaraz nazajutrz po nawiedzinach pielgrzyma, Elżbieta zaczęła ją pielęgnować. Nieraz, siedziały z Ludmiłą przez całe godziny, podziwiając kwiecie cudowne, które w ich oczach wracało

do życia. Wprawdzie owych listków zielonych nie było ani znaku, ale pęczek rozwinął się w rodzaj gwiazdy promieniejącej gałązkami, cała roślinka zmiękła pod działaniem codziennym odmianianej wody, a teraz już nawet prątki i jagódki zaczynały nabiegać jakąś barwą różową, zupełnie do młodej krwi podobną. Od całych miesięcy, Elżbieta śledziła jej ocknienie, z troskliwością niemal zabobonną, bo pamiętając na słowa pielgrzyma:—«Niech wam szczęście niesie»—związała niejako istność tego kwiatu z losem własnym, i z losami wszystkich istot sobie drogich. Od wyjazdu męża zwłaszcza, w długich dniach samotności, zwróciła na nią wytrwałość pustelniczkiej uwagi, nikomu nie dała jej się dotknąć, i często sobie z pociechą myślała:

— Nie, chyba jeszcze nic złego tuż przy nas nie stoi, kiedy moja różyczka tak zdrowo się chowa.

Więc i teraz szepnęła:

— O! Ciebie tu nie zostawię, mój wróżebny kwiatku. Musisz mi spełnić dobre słowo pielgrzyma. Wszystko to bym łacniej zostawiła niż ciebie, ale jak cię tu zabrać?

Rzeczywiście, niełatwo było zapakować tę drobnostkę, bez uszkodzenia gałązek, zwłaszcza teraz kiedy obmiękły. Trzeba znaleźć jakie małeńkie puzderko, włożyć ją w słomę lub trociny. Przemyśliwając nad wyszukaniem puzderka, Elżbieta oparła się na stole, i wyjąwszy Różę, za-

padła w dumanie, z którego ją rozbudził niespodziany odgłos: na głównej baszcie zabrzmiało trąbienie.

— Oho! To pewnie posłaniec wraca! — Zawołała, zrywając się co żywo, i wyglądając przez niższą część okna, gdzie jedno skrzydełko, ruchomo chodzące w okiennicy, z łatwością się odchyłało.

Niepokój zaostrza zmysły; mimo zadymki panującej na dworzu, Elżbieta dobrze się wpatrzywszy, dojrzała gości wygłaszanych przez trąbę.

Ale to nie posłaniec? To dwóch jeźdźców pędzi co koń wyskoczy—tuman śniegu kłębi się w koło nich..... O Boże! Co to znaczy? Wszakci to bułany koń męża? Ale na nim siedzi nie mąż..... Jakaś inna osoba—trudno ją rozeznąć — a dalej paż Feliś... tak, to Feliś!—Jak okropnie pędzą!..... Znikli..... góra ich zakryła..... Ach, przez okno sypialnej komory możnaby jeszcze ich dojrzec, ztamtąd widać całe pół góry, całą ścieżkę.....

Elżbieta zapomniawszy o wszystkim, otwiera drzwi, rzuca się do sypialni, wybiega na ganeczek, znów ich widzi.

Tak, to koń męzowski..... a na nim kto? Mężczyzna czy niewiasta? Któs w ogromnym płaszczu, zakapturzony, śniegiem obsypany, ale nie Sulisław, przecież on grubszy i wyższy? O! Już dojeżdżają do bramy..... Krzyczą..... Biją w kołatkę..... Jak okrutnie się dobijają! Boże mój!

Z tym wykrzykiem, Elżbieta strzałą przeleciała napowrót, rygiel odsunęła, i drzwi za sobą rzuciwszy, biegnie przez sień na dziedziniec.

Z konia, zadyszany jeździec zeskakuje, śnieg otrząsa, płaszcz roztwióra.

— Ludmiła!..... Ty tutaj! Mój mąż..... nie żyje?

Ludmiła schwyciwszy zaparte tchnienie, uściśnęła jój ręce, i wypowiedziała gwałtownie, głosem ciętym:

— Żyje, ale uciekaj, ty, Jaś, wszyscy. — Tatarzy idą—Sandomierz spalony—wsie wyrznięte—kraj w ogniu—bitwa przegrana—dwie bitwy—Przedwojowic zabity—idą—już są blisko—uciekajmy wszyscy!

Psota dziecinna.

Tymczasem Jaś, widząc drzwi odemknięte, sądził że już mu wolno wejść do sali; wetknął złotą główkę, a nie spostrzegłszy matki, wsunął się tém śmielój. Na widok jamy czarno ziejacój z muru, a którój nigdy na miejscu tém nie było, skamieniał. Z początku stał zdaleka, bał się czy jakie straszidło ztamtąd nie wyskoczy? Powoli jednak ciekawość przemogła, przystąpił i patrzył okrągłemi oczami, a co chwila oglądał się ku drzwiom od sieni, czując mimowiednie że natrafił na coś takiego, czego-by widzieć nie powinien.

Przy tém ciągłym obracaniu głowy, spostrzegł Różę Jerychońską leżącą na stole; nowa, jeszcze gorętsza ciekawość go zdjęła; ta Róża była od dawna skrytym celem jego pożądliwości; matka, bojąc się niszczycielskich popędów chłopca, nie pozwalała mu się jój dotykać, mówiła że

to «rzecz święta,» której nie można obracać na zabawkę. Nieraz długo, długo, patrzył na nią zdaleka, pożerany głodem zakazanego owocu. Teraz ten owoc leżał tuż pod ręką, nikt nie widział, pokusa była nad siły. Matka nie pozwalała wyjmować jój z wody, to prawda, ale teraz już i tak przecież jest wyjęta? Wziąć w rękę i obejrzyć, to przecie nie szkodzi?

Stół był wysoki; Jaś nie mógł dosięgnąć swego skarbu; chciwość jednak dodaje rozumu, wspiał się na krzesło matczyne, wyciągnął rączkę, pochwycił, i zeskoczywszy z krzesła, zaczął się przyglądać zdobyczy, z uniesieniem równém wzruszeniu Cezara, kiedy stanął na drugim brzegu Rubikonu.

Z początku trzymał gałązkę z obawą, potem, widząc że się ani rusza ani kąsa, śmielój zaczął badać co w niej siedzi tak nadzwyczajnego, i już nawet różowemi paluszkami próbował czy jagody mocno się trzymają, czyby nie można choć jednej odczepić, zabrać i rozłupać, kiedy nagle, w sieni usłyszał głos matki, a po chwili wiele innych pomieszanych głosów.

Już nadchodzą..... już są po-za drzwiami..... ognie go przeszły.....

Nic na świecie Jasia nie straszyc, tylko połajanie macierzyńskie, ale téż to połajanie, co mówię? jedno jój spojrzenie zagniewane, całą noc spać mu nie dawało.

Co tu robić? Położyć Różę na dawném jój

miejscu? Ach, gdyby można! Ale jak? Do stołu sięgać, za wysoko. Na krzesło piąć się, już za późno. Rzucić w kąt, o ziemię? Wszak to ma być «świętość?» Jeszcze ją kto zdepcze, a wtedy matusia dwa razy więcej się rozgniewa.

W przystępie dziecinnéj rozpaczy, wpadł na pomysł genialny: cisnął Różę do otwartéj na roścież kryjówki. Tam przecie nie zginie, a nikt pod słońcem nie odgadnie, jakim sposobem do niej się dostała.

Cały ów dramat psotnego serduszka, trwał tyle co mgnienie oka. Róża ciśnięta zniknęła w czarnej czeluści, chłopiec uszczęśliwiony w tył założył rączki, nastroił minkę niewinną, i dla lepszego — jak sądził — zmylenia poszlaki, stanął plecami do kryjówki.

Już téż i matka wbiegała, a za nią kto to? Z jakąż radością Jaś poznaje Ludmiłę, tę kochaną powierniczkę swoich trosk i kłopotów, tę nigdy niestrudzoną towarzyszkę swych zabaw, Ludmiłkę już od tylu, tylu dni niewidzianą!

Uczepił się jéj sukni, i krzyczy:

— Jesteś! Jesteś! Gdzieś ty się chowała, nie-dobra?

Ale owa Ludmiła, zawsze taka pieśczośliwa, dzisiaj ledwie włos jego brzegiem ust musnęła, ledwie spojrziała obłądnemi oczami. Złękło się dziecko, i na boku spłoszone przystaneło.

Tymczasem Elżbieta, spostrzegłszy rozwartą kryjówkę, jak przez mgłę zrozumiała swoje sprze-

niewierzenie się zaufaniu mężowskiemu, instynktownie drzwi zaryglowała i zaczęła składać napowrót sztuczny węzeł co zamykał drzwiczki; ale drżące ręce już nie chciały jęj słuchać, zrobiła więc tylko na prędce prosty, niewymyślny sy-peł, i wzięła się do wstawiania wyjętych kamieni; trudno było je dobrać, co chwila zapominała ich porządku. Ludmiła niosła jęj pomoc gorączkową, nie pytając się nawet co znaczy ta niezrozumiała dla nięj robota. Szkoda było czasu na słowa. Podawała wszystko bezładnie, z bijącymi piersiami, a Jaś patrzył zdziwiony czemu się obie tak spieszą, czemu tak osobliwszo wyglądają, i tém także niemniej zdziwiony, że jeszcze go nikt nie łaje?

Tymczasem do drzwi sztukano.

Już téż i kamienie się złożyły, i deszczułka zapadła.

Elżbieta odsunęła rygiel. Wbiegł Rupert, wołający:

— Któż tu zamknął? Na miłość boską, trzebaż nam się naradzić. Już kazałem wszystko do drogi gotować, co najkosztowniejsze zabiierać. Może pani jeszcze co każe?

Elżbieta przesunęła rękę po czole, zbierając rozproszone myśli.

— Chłopów ostrzedz!—Zawołała.—Wieś całą zawiadomić, niechże i oni uciekają! Tu nikt nie powinien zostać.

— Jakto nikt? Ja zostanę! Ja muszę bronić zamku. Pan mi go powierzył.

— Bronić zamku? A któż *nas* będzie bronił w drodze? O nie, mój Rupercie, to nie byłaby wierność, nie żadna odwaga, to czyste szaleństwo. Iluż masz ludzi? Trzydziestu. Cóż to znaczy przeciw Tatarom? Niech wezmą te mury, niech je zniszczą, spalą, byle wszyscy się uratowali.

Rupert po chwili wahania, musiał uznać słuszność jej uwagi, bo nic już nie odpowiedział. Spuścił głowę, i wybiegł.

Razem z nim, wysunął się i Jasio, obrażony że Ludmiła na niego nie zważa. Powinszował sobie pomysłu, na dziedzińcu czekał go widok niezmiernie zabawny: siodłano konie, wytaczano sianie, ładowano juki i skrzynki, rwetes, gadani-na, nieład. Jaś cieszył się i podskakiwał. Wiadomo, że dzieci niczego nie są tak chciwe, jak ruchu, zmiany, a zwłaszcza wszelkiej przeprowadzki.

Tymczasem Elżbieta uderzyła się w czoło, mówiąc:

— Może źle że zamurowałam całe nasze mienie? Bezpieczniej byłoby zabrać..... Może jeszcze wyjąć?

Ludmiła składając ręce, wołała:

— O, już niema czasu, niema czasu! Przecież murów nie będą rozbijali? Kiedyś odnajdziesz. Teraz, prędkiej, zabiéraj co mozesz, i w drogę!

— Więc oni już tak blisko?

— Niewiem..... Z niemi nigdy nie można wiedzieć, czy są o sto mil, czy za ścianą? Widziałam ogromne łuny, ale łuna daleko świeci może i oni jeszcze gdzieś daleko? A może wcale tu nie przyjdą? Oni najczęściej spadają tam gdzie ich się nikt nie spodziewa, jak w tym nieszczęsnym Witowie.

— Jako w Witowie?—Powtórzyła z podziwieniem Elżbieta, nic jeszcze nie wiedząca o losach tego miejsca, ani nawet o pobycie Ludmiły w klasztorze.

— Przecież cię zostawiłam u królowej?

Tu Ludmiła w beładnych ułamkach zaczęła opowiadać swoje ostatnie koleje, kiedy z nagłą na dziedzińcu odezwał się wielki dzwon, bijący krótko, szybko, co znaczyło że bije «na trwogę.»

— O Boże!—Krzyknęła Ludmiła krępując się do ramienia Elżbiety, — to zupełnie jak tam, w Witowie.....

— Nie bój się Ludko, to chłopów zwołują, to dla nich znak że jest niebezpieczeństwo.

Istotnie, na odgłos dzwonu, ścieżką pod górę zaczęły ciągnąć przestraszone tłumy. Z krzykiem i skwierkiem cisnęły się do bramy, gdzie Rupert im rozpowiadał któremi szlakami najlepiej uchościć, i z rozkazu Elżbiety, bez rachuby rozdawał co mógł na drogę, jałmużny, kożuszki, suchary, leżące w składach zamkowych. Wszyscy mieli kierować się ku stronom Szlązkim.

Ale kilka rodzin chłopskich, nie czekając nawet na hasło dzwonu, ani na zapomogę, po pierwszej wieści co gruchnęła w około zamku, już jechało ku lasom, wioząc swój maluchny dobytek, łatwy do zabrania, trochę żelastwa od košby i żniwa, kilka garczków, pasiąstą poduszkę, i jakieś szare, bezbarwne toboły, a zewsząd sterczały płowe główki dziecinne, z pomiędzy których czasem wysunął się różowy ryjek, czasem gęś markotna wyścibiła szyję.

Rupert, zadziwiająco przytomny i zapobiegliwy, szykował dwór cały w rodzaj karawany, a naprzód wysłał konno kilku dzielnych pachółków, ażeby przepatrywali drogi i uprzętały zasy śnieżne.

Przez ten czas, kobiety służebne oblegały Elżbietę, pytając się co mają brać, co zostawić? Po większej części zabiérały rzeczy najniepotrzebniejsze, pęki pościeli, strojne przyodziewki. Inne, nic nie robiąc, łamały ręce i zanosiły się od szlochów pełnych narzekania. Wtargnęło téż do sali i niemało chłopek, co korzystały ze sposobnej pory, aby coś od dobrej pani wytargować.

Elżbieta nie wiedziała gdzie się zwrócić.

— I ja bym wam pomogła w pakowaniu — jęknęła Ludmiła padając na ławę — ale dalibóg już nie mogę..... dajcie mi chleba, czy wina, czy wody, byle coś wziąć w usta..... W głowie, tu,

mi się kręci..... nogi się łamią..... Nic dziwnego, od Turska lecieliśmy jednym pędem. A dajcież jeść i temu poczciwemu Felisiowi, co wołał mię tu przeprowadzić, niżeli ratować się ucieczką do Krakowa.

Te słowa otworzyły oczy Elźbiecie. Rozkrzyżowała ręce, i rzucając się na szyję Ludmi-
le, wykrzyknęła:

— Ach, więc i ty miałaś drogę ratunku, a wołałaś..... O Ludmiło! Mówiłaś kiedyś że chcesz się wywdzięczyc..... Cóż ja uczyniłam w obec tego co ty dzisiaj robisz dla mnie i dla mojego dziecka? Nie, niczém, niczém w życiu nie potrafię ci się odslużyć!

— E—gadasz.....—Odparła Ludmiła całując ją i zarazem odpychając w uścisku.—Nic jeszcze nie zrobiłam, dopóki wszyscy nie jesteście wyratowani. Oto lepiej weź ten sygnet męża.....

— Ach mój Boże,—zawołała Elżbieta,—czyż ja się spodziewałam, przez kogo, i w jakiej godzinie będzie mi oddany?.....

Właśnie dziewczka wносиła chleb i wino dla Ludmiły. Postawiwszy je na stole, porwała za czerwony sepecik, pytając:

— Czy już można zamykać?

— Jeszcze nie, czekaj — muszę włożyć Różę. Gdzie moja Róża? Co to znaczy? Wszakci tu była niedawno?

— Jaka róża? — Pytano w koło.

— A no, ta gałązeczka, co tu mokła w mi-

seczce, przecież wiecie? Trzeba ją koniecznie znaleźć, koniecznie.

Kobięty rzuciły się do szukania, odsunęły oba wielkie krzesła, czołgały się pod stołem, aż Ludmiła, zniecierpliwiona, zaczęła nastawać:

— Ach dajcież pokój, czy to warto czas tracić?

— I tak, moja paniusiu,—ozwała się jedna z dziewek,—jeszcze nie można ruszać, bo jeszcze jegomość Rupert każe faski nadziéwać jadłem, i beczułkę z winem zataczać na sanie. Powieda że będziemy jachali bez wielachne puszcze, że trzeba się okrutnie zaopatrzyć, aby nie pomrzeć z głodu.

W téj chwili Elżbieta stojąca przy odchyleném oknie, dostrzegła ową ciżbę chłopów, przeciągających pieszo, konno, wasążkami, niby sieć rozciągniętą po śniegach, od stóp góry aż po same bory. Zaparła co żywo okiennicę, i zaczęła wołać na służebne:

— Przestańcie szukać..... zamykajcie wszystko..... już tamci uciekają—prędzój, prędzój! Czyż my już mamy być ostatni? Ciężko mi że téj nieszczęśliwej Róży nie mogę zabrać, miałam ją sobie za jakowąś wróżkę, wiész Ludmiłko, ona miała nam przynieść szczęście..... Zginęła..... Co robić..... Boża wola! Jasiu! A niechże już w ten dzwon przestaną bić tak przeraźliwie, już wszyscy wiedzą. Gdzież jest Jaś? A, jesteś! Chodź tu, kochanie, już jedziemy.

— A moje cacy? — Wołał chłopczyk, podczas kiedy matka otulała go futrami i chustami.

— Nie warto ich zabić.—Pocieszała Ludmiła.—Pojedziemy do wujcia, on ci da cacka jakich jeszcze nie miałeś. Będziemy w dużym, dużym mieście, zobaczysz Wrocław, a tam po kramach pełno biczyków, i łątek, i takich śliczności że aż ha!

Ale Jaś, niedowierzając obiecankom, podniósł z ziemi i włożył za płaszczyk malutkiego drewnianego konika, który walał się wśród niedokończonych pakunków. (Ten konik był dla Jasia wyobrażeniem najwyższej piękności; włościanie mu go na imieniny wystrugali, i pomazali farbami tak pstrokato, że wyglądał jak najpyszniejszy tygrys.)

Już obie panie, prowadząc Jasia, wyszły na dziedziniec zatłoczony ludźmi i wozami, już im przyprowadzano konie, kiedy w bramie pokazał się człowiek, blady jak płótno, kiwający rękami na znak aby się wstrzymano. Był to jeden z chłopców, których Rupert wysłał dla torowania drogi.

— Już nie można!—Krzyknął głosem zachrypłym od zadyszenia i przestrichu.—Już i tam są!

— Kto taki?

— A któż, Tatary! Szło nas trzech bez pole pod las, ku zachodniemu słońcu, a tu krrr..... między drzewiną jak zacnie furkać—leci strzała

jedna, druga, dziesiąta.....—Ja krzyczę: Wracajta! Nie ma co popasać.—A tu już jeden leży. — Lecimy we dwóch jak opętańce.—A tu i drugi mi gdzieś ginie..... Oglądam se—a ten już na ziemi wije się kieby robak.—Lecę pręcz—a modłę się: Jezusie Nazareński! Daj mi dopaść góry, daj mi stanąć przed naszą panią, i powiedzieć jój, niech się nie rusza z domu, bo już nie można ni tu ni tam..... Jezus Maryja, Józefie święty! Co to będzie? Co to będzie?

— Ależ jeszcze zostaje droga na Mazury! — Krzyknął Rupert, i wypadł za bramę, aby się dowiedzieć czy ta strona wolna? Niedługo czekał na wiadomość.

Pod górą, szalonym pędem wracały chłopskie sanie, pełne kobiet krzyczących w niebogłosy. Jedna z nich, przebita sterczącą na wyłot strzałą, jęczała śmiertelnie. Był to wózek, co ze wszystkich najpierwszy wyjechał, i to właśnie Mazowieckim szlakiem. Na granicy lasu, także go strzałami przywitano.

— Jesteśmy otoczeni—wyrzekł Rupert grobowym głosem,—ze wszystkich stron zamknięci. O Sandomierskiej drodze ani myśleć, łuny aż nadto jasno pokazują co się tam dziać musi..... Piekielne ludzie! Jak to umieją podejść i obsaczyć! Jeszcze nie widziałem takich wojen. Ha! Nie zostaje nic, jak zawarować się w zamku, i przynajmniej drogo sprzedać życie.

Na całym dziedzińcu nastąpiło milczenie.

Przed chwilą jeszcze, przygotowania do wyjazdu, chociaż pełne trwogi, dodawały wszystkim otuchy i dzielności. Teraz, kiedy już nawet nie można było wyjechać, kiedy nie zostawało żadnej a żadnej nadziei, ani w ucieczce, ani w odsieczy, ani w obronie, (bo cóż mogła garstka przeciw tysiącom?) ręce wszystkim opadły, serca obezwładniały.

Że jednak tonący, do ostatniej chwili chwytając się ostatniej deszczułki ratunku, i tu wszyscy, cisnęli się za mury i palissady zamku; wiedzieli że nie na długo ich ochronią, a jednak walczyli o każdy zakątek, o wiązkę słomy dla dziecka lub żony, jakby tu mieli spokojnie przemieszkwać. Kuchnie zamkowe, składy, korytarze, zappełniły się przerażonem chłopstwem, a ranna owa kobiéta jęczała ciągle, jakby pierwsza nuta okropnej symfonji, która niedługo, już, już się rozpocznie.....

Rupert, stojąc przy bramie, wszystkich wpuszczał, niewiasty i dzieci wyprawiał do wnętrza budynków, mężczyznom naznaczał stanowiska na basztach i pod ostrokołami, aż skończyła się straszna processja, wszyscy weszli, — kazał most podnieść, bramę zatarasować, łańcuchy rozciągnąć,—potém poszedł do kuchni, kazał w dużych kotłach nastawić wody i jagieł, nakoniec

skierował się ku sali. gdzie obie panie siedziały nieme, skamieniałe.

Nawet Jaś przestał skakać, zrozumiał że go coś straszego otacza, ukrył główkę na łonie matki.

Za krzesłem Ludmiły stał Kapelan, człowiek zwykle cichy i małowowny. W téj chwili, on jeden nie utracił głosu. Mówił o wielkości miłosierdzia boskiego, o znaczeniu męczeńskiej śmierci, która nietylko niegdyś z Katakumb i stosów Rzymskich, ale i dziś z ziemi Polskiej, prowadzi prosto do Boga.

Rupert stanął z pochyloną głową, chciał z tych słów zaczerpnąć nowy zasób odwagi i ufności, ale w uszach mu szumiało, nic nie rozumiał.

Nagle, — w sali zrobiło się nieco ciemniej, potem coś dziwnie błysnęło; jeden z pęcherzy w oknie puknął, rozdarł się na dwoje, — strzała świszcząca mignęła pod pułapem, odbiła się od muru, i zakrećwszy parę kółek, utkwiała w ła-
wie przed kominem.

Niewiasty wydały jeden krzyk niewyraźny.

Rupert syknął:

— Już są!

I wyleciał z sali.

Szturm.

Już od kilku godzin zamek Żegnaniecki wytrzymuje szalony szturm. Cała góra porośła barbarzyńcami, jakby lasem o żelaznych gałęziach, cała okolica zarośla się od koni, wozów, trzód i wielbłądów. Ludmile mignęły w pamięci słowa Jacka Odrowąża, kiedy to malując wzięcie Kijowa, opowiadał: «jak od skrzypienia teleg, ryku zwierząt i krzyku najezdników, człowiek człowieka nie słyszał.» I tu już oblężenci wzajem nie mogli się dosłyszeć; napróżno zrywali gardło, napróżno pomagali sobie znakami, fałszywie rozumiano rozkazy, Rupert zżymał się i załamywał ręce.

Sprawianie piekielnego huków, należało do taktyki Mongołów; zwłaszcza przy oblężeniach, klęli, wyli, trzaskali z biczów, zrzucali ciężary, straszili własne zwierzęta, byle ogłuszyć obrońców, byle myśli ich pomieszać, a sposób

ten, choć bardzo pierwotny, działał rzeczywiście z chaotyczną potęgą na jedwabną wyobraźnię Europejczyków.

Jednak, pomimo ogłuszenia, obrona szła dzielnie, wszyscy dokazywali cudów, nawet białogłowy. Ludmiła, której niebezpieczeństwo zawsze przywracało przytomność, stojąc w kuchni przy kotłach, rozdawała wiadra pełne ukropu i garnki pełne rozparzonych jagieł, a kobiety rozlatywały się po murach, aby ten deszcz kipiący wyléwać na głowy napastników. Ale cóż? Wypóźnić garczek to rzecz jednej chwili, a napełniać go ciągle niéma czém. Już kominy mało nie pękają od żaru, a woda nigdy się niechce dość prędko zagotować, już i drew i kaszy niedługo zabraknie, a tych szatanów nie zabraknie. Co jedni legną oparzeni, albo wystrzelani, to nowi pną się po ich trupach. Istne mrowisko.

Ludmiła coraz częściej przybiega do Elżbiety, która siadła w głębi sypialni, przyczajona za ogromnym piecem, z Jasiem przerażonym w objęciu. Kilka razy i ona chciała powstać, pójść do swoich z pomocą, ale nogi nie mogły jęj utrzymać, a przytém, jakżeż tu Jasia samego zostawić?

— Jeśli ma zginać, to razem ze mną.... Ach i ty ukryj się tu z nami Ludmiło, nie odchodź!

Istotnie, i Ludmiła widziała że już nie ma po co odchodzić, bo kiedy liczba nieprzyjacioł rosła, obrońców ciągle ubywało. Co chwila któryś

ustępował, ze strzałą wbitą w szyję albo w głowę; już i niejednej kobiecie wiadro się wymknęło z przesytego ręku. O ratowaniu rannych nikt ani mógł myśleć. Kapelan tylko, pochylał się nad umierającymi, przyjmując ich ostatnie wyznania, rozwiązując im duszę do ostatniego lotu.

Przez całą tę nieopisaną wrzawę, jakby wahało olbrzymiego zegaru, przebijano się równe uderzanie toporów. Do kamiennych ścian zamku mało przystępowano, ale były części obwarowania złożone tylko z ostrokołów, tam jako w najśłabsze miejsca, wróg najzjadliwiej uderzał, tam szeregi toporników mieniały się nieustannie. Bili też i do bramy i do okien, ale okna były silnie zakratowane, grubymi okiennicami zaparte, brama broniła się zębami żelaznej brony, i pokrzyżowanych wrzeczadźców. Nawet i owe drewniane palissady, nie okazały się tak słabymi jak z początku nieprzyjaciel sądził; zbite z bali niesłychanie tęgich, po wierzchu jeżące się od szpikulców, biegły dwiema ścianami, których odstęp napęczniony ziemnym nasypem i kamiennym gruzem, zdawał się niejako zrosnięty z całą górą. Już od kilku godzin siekiernicy się zawzięli, już wieczór zapadał, jeszcze nie było wyłomu.

Nagle, nastąpiło niepojęte milczenie. Krzyki ucichły, topory się zatrzymały, — obrońcy spojrzeli po sobie, i zamiast odetchnąć, owszem utracili tchnienie, jakby już zegar życia stanął. Czuli

że złe się czai na skok ostateczny, a nie wiedzieli z której strony przyjdzie?

Ludmiła, tuląca Elżbietę i Jasia w milczącym uścisku, zerwała się szepcząc:

— Co to znaczy?..... Ty siedź tutaj, nie ruszaj się z dzieckiem, tu was przynajmniej strzały nie tak łatwo dosięgną, ja wybiegnę żeby zobaczyć dla czego tak cicho?

— Ach nie odchodź, nie odchodź..... — Wołała Elżbieta, ale tamta już była na dziedzińcu, gdzie wszyscy półgłosem podawali sobie nowe, dziwne wiadomości.

Kilku najśmielszych wyjrzało przez wąziuchne strzelnice, i zobaczyło że oblegający odstąpili od murów. Trudno oczom uwierzyć, ale tak jest, odstąpili. Cała spadzistość góry ze wszystkich stron pusta, u dołu tylko, do kolutka czerń się przelęwa, szemrząc przytłumionym gwarem, nad którym coraz piskliwiej rozlega się jakieś osobliwsze skrzypienie.

Jechała ku górze machina wojenna, rodzaj wieży na kołach, z wystającym taranem, zaprzężona wołami, popychana przez ludzi. Widocznie sprzykrzyła się Tatarom przydługa rąbanina siekier, uciekali się już do wielkich środków.

Chcieli machinę zatoczyć pod ostrokół, ale tu spadzistość okazała się zanadto stromą. Napróżno doprzęgano konie, trzaskano batami, wóz od połowy góry staczał się nieuchronnie.

Zostawała tylko ścieżka wężykowata, pro-

wadząca do bramy. Spróbowano tamtędy wjechać; ścieżka, z początku dość szeroka, nagle się zwężyła; z jednéj strony zabrakło gruntu pod kołami, cała wieża się przechyliła, ledwie z największém wysileniem zdołano ją podeprzeć i na dół wycofać.

Machina wróciła między inne wozy, a mieszkańcy zamku wybuchnęli jednym okrzykiem radości. Przez chwilę mieli nadzieję, że może nieprzyjaciel wyczerpał swoje środki, zniechęci się i odejdzie.

Istotnie, Tatarzy znów przycichli. Naradzają się? Czy téż czynią jakieś przygotowania? Trudno to rozeznąć przy nadchodzącej nocy.

Oho..... Znów idą pod górę, płyną jakby czarne wody, coraz wyżej, coraz ciaśniejszym kręgiem. A tam, od strony ostrokołu, co to się przybliża? Kilku ludzi niesie drąg wysoki nakształt masztu, na którym siedzi ptak ogromny, czy ryba, czy niedoperz? Jakieś stworzenie dziwaczne, niebywałe w naszych krainach, rysujące się na tle mrocznego nieba, jakby rozczapięrzony profil smoka. Może to tylko udane straszidło? O nie! On chyba żywy, bo zakręcił się z rykiem podobnym do grzmotu, i z paszczy wyrzynał półkolisty strumień trzaskającego ognia.

Mongołowie, którzy z genjalnością Kruppa

umieli przyswajać sobie wszelkie niszczycielskie wynalazki, nauczyli się w Chinach starego sekretu «broni piorunowój.» Chińczycy od niepamiętnych czasów, umieli robić mieszaninę podobną do prochu, wybuchającą ze skrzynek przewożonych na kółkach, zupełnie coś naksztalt naszych armat. Ale w państwie Niebieskiem, wszelkie odkrycia są jak owe cudowne dzieci, co zdumiéwają zdolnościami przy pierwszém swoim pojawieniu, a daléj ani na krok już nie postępują; i te piorunowe machinki, po całych wiekach, były kubek w kubek takie same, jakimi je najpierwszy wynalazca zbudował. Dopiero synowie Dżyngischana, którym nie zbywało na barbarzyńskim dowcipie, potrafili w nowy sposób z nich skorzystać. Pomiarkowawszy iż na Zachodzie odkrycie to nie jest jeszcze znaném, nadali mu, za pomocą malowniczych przyrządów, pozór zjawiska nadprzyrodzonego, używali go rzadko, tylko w chwilach stanowczych, jako prawdziwego «Deus ex machina», czém wyrobili sobie wkrótce sławę strasznych czarnoxięźników, a sława taka w ówczesnej Europie, aż nadto skłonnej do wszelkich wierzeń zabobonnych, znaczyła tyle co drugie całe wojsko.

To téż i w zamku Żegnanieckim powstał popłoch śmiertelny. Okrzyk: «Czary! Czary!» ze wszystkich ust wyleciał. Zaczęto się rozbiegać, ukrywać, rozpychać i niepoznać, jakby w domu warjatów. Nawet Rupert opuścił oręż;

z ludźmi, można walczyć po ludzku, ale cóż tu robić przeciw sile sprzymierzonej z piekłem?

Stał, patrząc obłądnemi oczami na tłumy niechzące go już słuchać. Znał uderzył się w czoło, szepnął:—Ha! Jeszcze ten ostatni ratunek.....—i zaczął biedz z innemi.

Po drodze spotkał Ludmiłę, której Kapelan torował drogę ku Elżbiecie. Rupert zwrócił ich oboje:

— Za mną, do kuchni!

--- Po co? Po co?

— Ach, nie pytajcie po co, tylko idźcie, już ja wiem co robię.

W kuchni zaczął im podawać suchary, séry, dzbany, co tylko mógł pochwycić.

— Bierzcie to i nieście do pani, a przytém świec, pochodni, ile tylko znajdziecie.

Porwali, co mogli unieść. Rupert obładowany pociągnął także za niemi, a gdy weszli do jadalnej sali, zatarasował wszystkie drzwi na rygle, pozasuwał je ciężkimi ławami.

Już téż i czas było zamykać. Potwór nadpowietrzny, obnoszony do koła zamku, rozsiał w nim niesłychane zniszczenie. Tęczą ognistą spuszczając się do środka, oparzał ludzi, zapalał gonty na drewnianych przybudówkach, nadgryzał ostrokoły. Nakoniec postawiono go przed bramą, i podwojono w przyrządzie siłę piorunującą; wszystkie mury zatrzęsły się od huku, część

bramy, wysadzona, prysnęła w kawały, Tatarstwo zaczęło się walić na dziedziniec.

Wtedy nastął mord i rabunek.

Rupert, razem z Ludmiłą i Kapelanem zniósłszy zapasy do sypialnej komnaty, pod piec za którym ciągle siedziała Elżbieta, obejrzał się, policzył głowy, szepnął: — Pięcioro..... to i tak bardzo wiele.....—Zaryglował jeszcze drzwi od jadalnej sali, i zapaliwszy pochodnię, zbliżył się do Elżbiety.

— Pani..... wstańcie..... właśnie tu gdzie siedzicie, jest zejście do podziemia, tam jeszcze może będziemy się mogli ukryć, i przetrwać nieszczęście.

Elżbieta, ocucona promieniem nadziei, zerwała się z przytłumionym wykrzykiem. Rupert oddał pochodnię Kapelanowi, a sam odjąwszy jedną ze sztab okiennicowych, zaczął nią podnosić kamień leżący w głębi zapiecka. Ten kamień, zupełnie podobny do wszystkich innych jakimi podłoga była wyłożona, szczelnie zewsząd przypasowany, w jednym tylko miejscu posiadał wyżłobienie, gdzie świadoma ręka mogła go podważyć. Po niedługiej chwili podniósł się, skrzypiąc na zardzewiałych zawiasach. Wszyscy ujrzeni otwór z krętymi schodkami, zapadający w czarną bezdeń.

Rupert najprzód rzucał suchary i wszelkie jadło na dół, mówiąc:

— Niech lecą, odnajdziemy je na dnie. Dzbanków już nie możemy zrzucić, trzeba je w rękę nieść ostrożnie..... A świec dużo macie? Gdzie są świece?

Przez chwilę szukano.

— Świec nie wzięliśmy, rzekł Kapelan — ale są dwie pochodnie.

— To źle..... — Pomruknął z gniewem Rupert. — Bardzo źle. Cóż znaczą dwie pochodnie, na kilka, może kilkanaście dni?

— Czekajcie, świece są tu blisko.....—Zawołała Ludmiła, biegnąc ku maleńkim drzwiczkom bocznym. Po długim zamieszkaniu na zamku dobrze poznawszy jego rozkład, wiedziała że te drzwiczki gospodarskie prowadzą na korytarz, wiodący do różnych spiżarek i apteczek. W nadziei że nieprzyjaciel jeszcze tam nie wtargnął, odemknęła zasuwę, i ostrożnie drzwi uchyliła. Ach, jakiż widok ją uderzył! Feliś, z piersią skrwawioną, leżał pode-drzwiami, które—jak widać—chciał tą piersią zasłonić; zwrócił ku niej oczy, owe oczy niegdyś figlarne, teraz poważne majestatem konania. W głębi korytarza dwaj ludzie się szamotali. Szczęście to wielkie, że zajęci własną walką, nie dostrzegli odchylenia drzwiczek. Jak mogła najciszej zamknęła je napowrót, zaparła zasuwę, i stając nad wejściem do podziemia, szepnęła:

— Już za późno..... schodźmy.

Już téż i schodziła Elżbieta, z dzieckiem na ręku, drżąca, prowadzona przez Kapelana, chociaż prowadzić było trudno po wązkim ślimaku schodków. Za niemi szła Ludmiła obładowana dzbanami, nakoniec Rupert z pochodnią.

Już zbiegł kilka stopni, już chciał kamień spuścić, kiedy znagła przystanął.

— Sztaba! Zostawiłem sztabę! Dzięki Ci Boże dobry, żem sobie przypomniał, czemuże byśmy napowrót otworzyli?

Wyskoczył raz jeszcze, porwał sztabę, wrócił wołając półgłosem:

— Oh! Już drzwi wyłamują!

I spuścił za sobą kamień, który z przeciągłym echem, opadł nad niemi jakby grobowe wieko.

Podziemie.

Jaś, ujrawszy się w takiej czarnej studni, wybuchnął przeraźliwym płaczem.

Rupert zaklinał:

— Uspokójcież dziecko..... Ten krzyk nas wszystkich zdradzi..... Już weszli—już chodzą nad naszymi głowami.....

Elżbieta namiętnie przycisnęła dziecko do piersi, błagając:

— Jasiu, jeśli mię kochasz, nie krzycz, nie bój się.....

Jaś bać się nie przestał, ale przycichł; zamknął oczy, i konwulsyjnie objął szyję matki.

Przebywszy kilkadziesiąt stopni, znaleźli się przed niskimi, ciężko okutymi drzwiami. Rupert, z pęku swoich kluczy dobrał jeden, otworzył twardo chodzący zamek, a gdy drzwi odchyliły się z trudnością, skrzypiąc na gruzie którym próg był zasypany, ujrzeni korytarz wąski,

arkadami kamiennemi gdzie nie gdzie podparty, a tak długi że końca jego nie można było dojrzeć.

Weszli; drzwi napowrót zamknięto.

W pierwszej chwili, ucieszyło ich niewymownie wrażenie ciszy jaka tam panowała; po tylogodzinnym łoskocie, po tylu krzykach i jękach, taka cisza zupełna, obojętna, ochłodziła ich i uspokoiła. Zdawało się że cały Żegnaniec, szturm, i Tatarstwo, to było gdzieś na innym świecie. Wkrótce jednak, i wszystkim jednocześnie, przyszła myśl, że łupieżcy mogą dobrać się i do schodków; gromadka ruszyła wartkim chodem, wiedziona przez Ruperta, który na skrętach zatrzymywał się podnosząc pochodnię, a czasem rozgarniał mieczem nasypiska ze ścian opadłe.

Jednak te gruzy utrudniały drogę. Musieli iść ostrożnie. Chodnik czasem piał się pod górę, czasem zstępował nagłym spadkiem. W zagęszczoném powietrzu pochodnia coraz mdliej świeciła.

Po jakiej pół-godzinie mozolnej wędrówki, Elżbieta przystanąła, mówiąc:

— A..... już nie mogę..... Jakże tu duszno, jakże tu okropnie.....

— Dalej będzie mniej duszno, -- pocieszał Rupert, — jak dojdziemy do połowy drogi, znajdzie się w sklepieniu otwór, co wychodzi na pewną pieczarę, głęboko w puszczy schowaną.

Mądry pomysł; gdyby nie ta szczelina, nie można by tu oddychać.

Niedługo stanął, i nad głowami pokazał wazkie rozpeknięcie w kamieniach.

— Oto jest.— Powiedział.

Niebo tu nie przeglądało, bo szpara wychodziła na czarną jaskinię, ale powietrze było rzeczywiście nierównie rzeświejsze. Wszyscy odetchnęli.

— Ach, tu odpocznijmy. — Prosiły obie panie.

Ale Rupert potrząsnął głową.

— Nie, tu jeszcze niemożna. A nużby kto przechodził koło pieczary? Mógłby dosłyszeć nasze głosy, dojrzeć pręgę światła od pochodni. Idźmy dalej.

Więc poszli dalej.

Po niejakiem czasie, i po dwóch skrętach drogi, przewodnik oświadczył że tu już można spocząć. Siedli na kupkach rumowiska. Sam tylko Rupert stał ciągle, i z rodzajem niepokoju wpatrywał się w dalszą drogę.

Wtedy Ludmiła zadała pytanie, które już od początku na ustach jój wisiało:

— Gdzież to się kończy? Gdzież to prowadzi?

— To prowadzi do Itzy.

— Jakto? Aż do Iłży! — Zawołali zdumieni słuchacze. — Wszak-ci to tak daleko?

— Daleko dla tych, co na ziemi muszą okrążyć bagna, i górę sterczącą pośród lasu. Ale pod ziemią droga idzie prościuchno, pod samém sercem puszczy, i tu dopiero można się przekonać, jak Żegnaniec jest blisko Iłży. Już niedługo dojdziemy do drugich drzwi, takich samych jak tamte.

— A te drzwi prowadzą, gdzie?

— Do takiej samej studni ze schodkami.

— A schodki, gdzie?

— Do głównej baszty zamku Iłżeckiego.

— I któż to tak urządził? — Zapytał Kapelan.

— Dziad mojego Pana, ten co to wojował u Grobu Świętego. Jeżdżąc po świecie, dużo się nauczył. Żył téż w serdecznej przyjaźni z ówczesnym panem Iłży; czy pokój czy wojna zawsze z sobą trzymali, i dla lepszéj pomocy, urządzili sobie to potajemne przejście; oj! nieraz ono figła wyplatało wspólnym ich nieprzyjaciołom. Ledwie jednego obleżono, już drugi jest z odsieczą; ludzie zachodzili w głowę, jakim sposobem dowiedział się o niebezpieczeństwie przyjaciela? Pewnego razu, zdobyto Żegnaniec, ale pana w nim nie znaleziono, tylko tegoż samego dnia, jakby cudem jakim, znalazł się za murami Iłży. W końcu, myślano że to chyba czary. Tak, wówczas te fortele wystarczały, pan wojo-

wał z panem, stu ludzi przyszło, stu innych się broniło,—ale teraz!

I zamyślił się ponuro.

— I ja nic nie wiedziałam,— rzekła Elżbieta — że w mojej własnej komorze mam zejście do takich lochów! Jakie to szczęście, że się tędy kto nie zakradł do nas!

— A któż mógł się zakraść, moja pani? Do-
tąd, czterech tylko ludzi pod słońcem, wiedziało o tém przejściu: od Żegnańca, mój pan i ja, — od Iłży, Biskup Krakowski i dowódca tamtejszej załogi, który także posiada klucze. Pan zawsze wyjeżdżając powtarzał: «Mój Rupercie, pilnuj dobrze podziemia, i nie używaj go, chyba w ostatecznym niebezpieczeństwie.» Zdaje mi się że chyba dziś już było *ostateczne*?

W téj chwili Elżbieta podniosła ku niemu spojrzenie pełne wyrzutu.

— Rupercie, ty źle zrobiłeś. Trzeba przecież było, od razu, na pierwsze hasło napadu, ukryć tu wszystkich, wszystkich..... A tyś ich zostawił na rzeź! Czemu tylko nas? Czemu tak późno?

— A moja pani, czémże by te kilkaset ludzi tu wyżyło? Dajmy nawet na to, żebyśmy potrafili uratować dostateczne zapasy jada, ale co pić? Tutaj niéma studni. Ach, tu chyba jedni drugich musieliby pożerać, i krew ciepłą wysysać..... A przytém..... wstrzymywał mię jeszcze inny postrach..... taki wielki postrach, że i was, dopię-

ro na ostatnią chwilę odważyłem się tu sprowadzić. Kiedy Żegnaniec wzięty, trudno przypuścić aby Iłża nie była także obleżona? Ja się bałem, czy dowódca tamtejszy, już także nie spróbował téj drogi? Czy tu nie zastanę mnóstwa ludzi, mieszkańców Iłży, a może i Tatarów? Bóg łaskaw, że dotąd jesteśmy sami, ale niebezpieczeństwo z obydwóch stron grozi.

— Więc którądyż my wyjdziemy? — Pytała Ludmiła.

— Ha! Tego ja niewiem. Najlepij byłoby przeczekać. Może po kilku dniach, nie mając już nic do rabowania, Tatarzy odejdą?

— Po kilku dniach! — Westchnęli — i zapadli w głucho milczenie.

— To najgorzej, — odezwał się zcicha Kapelan — że nie będziemy nawet mogli rachować tych dni. Jakże tu rozeznać dzień od nocy?

Znów nastała cisza, wśród której tylko Elżbieta szepnęła do Ludmiły:

— Jaś usnął..... to dobrze.

Czas przechodził w milczeniu. Ile go przeszło, nikt nie mógł określić. Przerwa, co się naszym zakopańcom wydała kilku przedwiecznymi godzinami, może nie zajęła i jednéj godziny? Jakże chwile rachować w ciemnej próżni, gdzie niema ani widoku zmian niebieskich, ani zégaru, ani klepsydry, ani nawet równego spadania kropel

skalnych, co w jaskiniach dają się obliczać? Jeden chyba mieli probierz na odmierzenie czasu, bicie własnego serca, — ale i to, przyspieszone, bezładne, dawało fałszywą miarę.

Jasiek się obudził, i zakwilił:

— Matuniu! Kiedyż będzie ten obiad? Jeść.....
mnie się chce jeść.....

Matka, całując go, mówiła:

— A jakże? Już był obiad.

Ale dobrze wiedziała że Jasio miał słuszność, że dzisiaj nikt nie obiadował, i cichutko spytała Ludmiły:

— Czyby jemu co nie dać? My jeszcze możemy czekać, ależ dziecko?

Ludmiła wyjęła pierniczek. Dziecko chciwie go chrupiąc, patrzyło rozespanemi oczętami na to jakieś nieznanne, bardzo dziwne mieszkanie.

W téj chwili Rupert, który nie mógł usiedzieć, ale wciąż tam i napowrót kilka kroków przechodził, z długą, zmienioną twarzą stanął przed paniami.

— Już niemożna czekać.— Wymówił stanowczo.— Patrzcie, jedna pochodnia się dopala, już tylko druga zostaje, a potem? Zapasy żywności starczyłyby na długo, ale światło! Brak światła nas gubi! Bo ja wiem jeszcze jedną rzecz..... okropną..... czy uważaliście że w kilku miejscach, ta droga się z innemi krzyżuje? Tak, dla zatra-

ty nieświadomych, dla zmylenia pogoni, porobiono boczne, fałszywe korytarze, które doprowadzają do wązkich ale bezdennych przepaści. Póki dobrze widzę, póty wiem że nie utracę drogi; znam ją doskonale, a przytém na ścianach jest ponaznaczana czerwonymi krzyżami. Ale bez światła, za nic nie ręczę..... Mógłbym się omylić, zejść prosto w przepaść. Mniejsza o mnie, ależ wy, bez przewodnika, bez pochodni, zginiecie, żywcem pogrzebani!

— I cóż robić?—Pytały białogłowy.

— Trzeba spróbować drugiego wyjścia. Może Iłża jeszcze wolna? Może my tu próżno tracimy godziny, które właśnie starczyłyby na ucieczkę? Byle dostać się w głębokie lasy, to już pół zbawienia.

— Ale klucz od tamtych drzwi, gdzie go znajdziemy?—Zagadnął Kapelan.

— A mam-ci go z sobą, tak jak Sobestjan, dowódca Iłżecki, ma klucz od naszej strony. Zaczny człowiek, na niego można liczyć; przyjaciel Biskupa Prandoty, już to samo go chwali.

Elżbieta westchnęła na imię Prandoty, które jej przypomniało Kraków, salę królewską, Jasełka. Zaczęła pytać samęj siebie, co jest snem? Czy ta przeszłość? Czy ta obecność?

Tymczasem szli ku drzwiom przeciwnym. Okazały się bliższe niż sądzono. Tu znowu zarzewiały zamek stawiał opór pierwszym usiłwaniom.

— Widno, — rzekł Rupert — że już dawno tu nikt nie zaglądał. Za naszego pana, życie szło jakoś tak spokojnie!

Pod silną ręką, uległo żelazo. Kiedy drzwi odemknięto, panie zatrzymały się u progu, Rupert wbiegł na ślimakowe schodki, Kapelan stanął u pierwszych stopni, przyświecając mu podniesioną pochodnią.

Po dłuższej chwili, Rupert wrócił powoli, milczący, wahający.

— No i cóż?—Pytano.

— Nie śmiałem jeszcze kamienia podważać. Tylko słuchałem. Niewiem..... nie jestem pewien..... Może to mnie tak w uszach szumi? Przez płytę kamienną źle słychać, — ale mi się wydało że mam nad głową jakieś całe jezioro szumiące.....

— Ja pójdę, posłucham. — Rzekł Kapelan, i wstępował szybko, ale jeszcze nie doszedł do wierzchu, kiedy ów szum tak się rozrósł, że wszyscy, nawet na dole, usłyszeli go najwyraźniej. Był to przygłuszony, ale olbrzymi tumult, nad którym nagle wystrzeżiło kilka osobnych głosów, jedno cienkie, niewieście, inne grzmiące męzką grozą. Znała, krzyki ucichły; tylko usłyszano wyuzdane śmiechy. Ten śmiech dobił naszych słuchaczy. Uciekli do korytarza, drzwi zawarli, i stanęli oparci o ścianę, nie śmiejąc stąpić w żadną stronę, bo im się zdawało że już i od Żegnańca słyszą jakiś huk niewyraźny; może to tylko było echo?

Po chwili, nastął krótki łomot, jakby spadającego kamienia, potem szelest, jakby zbieganie, zsuwanie się po schodach, zamek warknął, drzwi się odchyliły, wleciał człowiek z najężonym włossem, prowadzący a raczej niosący omdlałą staruszkę. Był to Sebastjan, przywódca załogi Iłżeckiej, który chciał tu ukryć swoją matkę, ale ucieczka jego nie poszła szczęśliwie, zanim zdołał drzwi zamknąć, już Tatarstwo po schodkach waliło się z pochodniami, z główniami, przy których blasku czerwono migotały ich szable krzywe, szersze u końca niż u rękojeści, i oczy krzywe, jeszcze więcej świecące ciekawością niż gniewem.

Sebastjan i Rupert stanęli przed kobietami. Rupert, oprócz miecza, trzymał swoją sztabę, którą odepchnął i zakrwawił dwóch pierwszych napaśników. Widok téj krwi rozpaszał tłuszczę; rzuciła się ze ślepym rozpędem, drzwi wytłoczone trzasnęły jak drzazga, i całym ciężarem padły na Ruperta. Ze znaną swoją siłą, byłby może jeszcze się podźwignął i podniósł ogromne to wieko, ale tłum zaczął stapać po drzwiach wyłamanych, Rupert przytłoczony, kilka razy jęknął, potem—przestał jęczeć.

Elżbieta wydała krzyk jeden, przeciągły..... Chustą z piersi zerwaną owinęła Jasia, całego, nawet z główką, chcąc i jego ukryć przed napaścią, i przed nim ukryć te straszne obrazy.

Ludmiła stanęła na przodzie, usiłując ją

i dziecko zasłonić, jakby ta chwilowa zasłona mogła zaślepić oczy wroga.

Tymczasem Sebastjan bronił się rozpaczliwie, ale pięciu, dziesięciu na niego wsiadło. Przewrócono go, uduszono i zakłuto.

Sam tylko już Kapelan pozostał. Zdjął z piersi złoty krzyżyk, podniósł go nad głowami dziczy, i modląc się cicho o siłę do męczeństwa, stał z oczami utkwionemi w krzyż.

Kobięty padły na kolana.

Elżbieta szepnęła gwałtownie:

— Boże! Ratuj moje dziecko!

A potem dodała w duszy:

— I moją cześć niewieścią.

Modlitwa Ludmiły była inną. Sięrota zapomniała o sobie. Wykrzyknęła w głębi serca:

— Boże pozwól mi uratować te dwie istoty, a przynajmniej.....

Chciała dodać:

— Jedną z nich.

Ale nie śmiała skończyć, nie śmiała wybrać.....

Czuła, że strata Elżbiety byłaby śmiercią dla niej, a strata dziecka byłaby śmiercią dla Elżbiety.

Wykrzyk został niedokończony.

Jednak aniołowie usłyszeli modlitwy obu niewiast, i wpisali je do xiąg swojej pamięci.

Piekło.

Pomimo wrzawy i zamieszania, tłum rozstał się jakby przekrojony. Żołdaki, z nadludzkim przyplaszczaniem poprzyrastały do ścian i zagłębień, aby zostawić przejście wolne kilku mężom, którzy z wielkim szczękiem zstępowali po schodkach.

Wtedy to Elżbieta i Ludmiła po raz pierwszy zobaczyły zbliżających prawdziwych Mongołów.

Na czele stąpił człowiek młody, bujnej postawy, pięknie wcięty w pasie; buty jego wysokie, musiały być pierwotnie czarne, dziś były zrudziałe od krwi w której brodził. Z ich obrączkowych pofałdowań, poniżej kolan, puszasto wysypywały się szarawary jedwabne karmazynowe, nakrapiane gęstymi rzędami złotych guzów i kulek. Na piersiach miał kaftan bardzo krótki, szyty z zielonego sukna, które prawie ginęło pod niezmiernie świecącym haftem; nie były to na-

szycia wyrabiane nitkami, ale blaszki szczerozłote, w kształcie gwiazdek, prątków, i różnych wykrętasów, bardzo sztucznie powprawiane, jakby wtłoczone w sukno. Kaftan u dołu był obszyty siecią kolczugową, w czarne i złote oczka, tworzącą rodzaj chrześliwej frędzli. Na piersiach, oślepiająco migotało tak zwane «Żwierciadło», blacha stalowa czworoboczna, nieco wypukła, wygładzona rzeczywiście do zwierciadlanej czystości. Inne blachy tworzyły skrzydlate naramienniki, i rodzaj paskowanych rękawic. Na tém tle główném, rozwieszały się różne jeszcze inne rynsztunki. U ramienia tarcza bardzo dziwna, biaława, zrobiona z twardego, łosiowego rogu, pozczepiana złotymi ćwiekami, wycięta fantastycznie w kształt, o którym trudno dać wyobrażenie, chyba gdyby go przyrównać do skrzypiec pozbawionych nagłówka. U boku, szabla krzywa, z rękojeścią nabijaną ametystami i beryłami Sybirskimi. U bioder, kołczan, grubo złożony, wiszący na żółtej wstędze z Chińskiego jedwabiu. Za pasem, koncerz w pochwie obdzierganéj Per skim filigranem, kindżały i noże, nakoniec w ręku włócznia tak wysoka, że pod sklepieniem korytarza wojownik musiał trzymać ją ukośnie. Na głowie miał kołpak skórzany, olbrzymich rozmiarów, podobny do głowy cukru, ale pochyłony ku przodowi jak czapka frygijska, naszyty żelaznemi i złotemi blachami, co mu nadawało pozór osobliwszego hełmu. Kity na hełmie nie

było, tylko nad lewą skronią wpięta w kołpak, sterczała niesłychana iglica, niby wielki gwóźdź złoty z główką dziurkowaną, w której zatknięte czarne pióra, tworzyły całą kulę puchu, większą niż głowa która ją dźwigała.

Z pod hełmu, czepiec kolczugowy opadał na ramiona i szyję, odsłaniając tylko twarz długą, jednostajnie żółtą jakby złoto. Przy czerwonych odbłyśkach pochodni, złotość cery gdzie nie gdzie przybięrała połyski miedzi. Na tém tle kruszcowém, odznaczał się tylko nos nieco wklęsły ale kształtny, oczy nieco skośne ale pełne światła i podrażnień, jakby perłową konchą wyłożone, i usta nieco za grubo wywinięte, ale świeże i przyciągające łakomym uśmiechem.

Z tym strojem, z tém obliczem, ów rycerz Mongolski był straszny, i — przepyszny.

Tak musiał wyglądać Nemrod, wielki łowca ludzi.

Za nim szedł inny wojownik, w kaftanie ciemno-czerwonym, równie suto obsypany złotem, równie butny, choć dużo niższy i starszy.

Za niemi jeszcze inni, wszyscy wspaniali, śmiejący się i pogardliwi, — prawdziwe typy zwycięzców.

Gdy zeszli do podziemia, przedstawił się widok osobliwszy, który nasze niewiasty wprowadził w podziw, i błysnął chwilką nadziei. Ow pierwszy wódz, zobaczywszy nad głowami tłumu krzyż złoty, padł na kolana, i trzy razy czołem o ziemię uderzył. Inni patrzyli obojętnie, ani mu się dziwiąc, ani go naśladować. Powstał, wyrwał krzyż z ręki xiędza, ucałował, włożył za swój kaftan, i skinął na żołnierzy, którzy wnet Kapelana między siebie wzięli, a chcąc jeszcze lepiej wodzom drogę uprzętnąć, usiłowali podnieść i matkę Sebastjana; ale ta była omdlona, czy też razem z nim zabita; kiedy jeszcze dostrzegli że ma twarz starą i pomarszczoną, kopnęli ją nogą, i razem z synem w kął rzucili.

Tymczasem, wojownik o zielonym kaftanie przystąpił do niewiast. Pierwszą spostrzegł Ludmiłę. Na widok jęj, mały wykrzyk podziwu i przyjemności wydarł się z ust jęgo. Pokazał Elżbietę innym wodzom, którzy wnet matkę z dziecięciem otoczyli i wywiedli po schodkach, sam zaś ramieniem lekko objął kibić Ludmiły, i wyprowadzał ją z rodzajem przestraszającęj, Mongolskięj uprzejmości. Wszystko to zaszło dość łagodnie, bez gwałtu, bo niewiasty nie stawiały oporu. Elżbiecie zdawało się, że jeżeli ginąć, to już pod niebem, ach wszędzie, byle nie w tém podziemiu. Z siłą którą nadają tragiczne wypadki, szła, jak męczennica idzie na stos, nie targując się już o chwilę zwłoki, tylko jesz-

cze ukrywając dziecię na otuloném łonie. Ludmiła biegła za nią jak na skrzydłach, ażeby jój nie stracić z oczu, a przytém aby się wyśliznąć z objęcia zdobywcy.

Szybko przebywszy schody, weszły do jakiejś ciasnej komóreczki, w której pewnie Sebastjan długo ukrywał matkę. Potém, rozwarły się przed nimi małe drzwiczki, na których progu, mimo całej odwagi, stanęły z wykrzykiem przerażenia.

Roztaczała się przed nimi izba ośmiokątna, nisko sklepiona, stanowiąca dolne piętro jednej z baszt Iłżeckich. Ta baszta, choć wielokrotnie już niszczone i odbudowywana, do dziś dnia nazywa się *Piekłem*, a nazwę tę zyskała podczas owego pierwszego napadu Tatarów, od okropności jakie się tam działy.

Cała izba, w dole, w górze, po bokach, wyglądała czerwono, bo choć jeszcze na niebie była noc głęboka, łuna palącego się miasta wpadając przez drzwi i okna, rzucała tak straszliwe światło, że wzrok mógł na ścianach rozróżnić szpary między kamieniami, a światło to rosło jeszcze przez odbicie; płomienie, ławy, stoły i osoby, wszystko jakby w czerwoném zwierciadle odbijało się w podłodze, dosłownie krwią zalanej. Kagańce na łańcuchach wiszące u skle-

pień, wyglądały mdło przy tém oświetleniu, godném pałaców Gehenny.

Z pod ławek majaczyły w półcieniu trupy mężczyzn pozabijanych. Z po-za pieca, kilka niewiast, z oczami osłupiałemi, wyglądało, otulając się w strzępy rozdartéj odzieży. W jednym z kątów, roiła się kupka dzieci, powiązanych z sobą, poszlochujących piskliwie.

Na samym środku izby, stał wielki stół, zastawiony misami kurzącemi się od jądła, i kubkami o dziwnych kształtach.

Po lewéj stronie, czerniały wielkie, żelazne drzwi od ulicy, po prawéj, niskie drzwiczki do jakiegó izby pomniejszéj, z kąd wesoło dochodziły głosy ochryple od pijaństwa, a wśród nich odezwało się czasem łkanie kobiéce, przycichłe, jakby już konające.

Wszędzie znać było dosyć dawne zagospodarowanie się zdobywców. Iłża musiała już od wielu godzin być wzięta i przetrzęsiona. Tatarzy syci rzezi i rabunku, już widocznie zabrali się do zwyciężkiéj uczyty, którą odkrycie podziemia przerwało na chwilę, niespodzianką dosyć przyjemną, bo obiecującą nowy łup i zabawkę.

Obie kobiety na progu skamieniały. Elźbieta z macierzyńskim instynktem zaraz dostrzegła ową kupkę dzieci, i zaczęła w duszy pytać, czy nie lepiej uciekać raz jeszcze do lochów? Ludmiła nie miała odwagi wstąpić w tę rudą kałużę, a przytém z izby wiał zapach krwi i gorą-

cych trunków, który nawet po duszném powietrzu podziemia, wydawał się nie do zniesienia.

Ale Tatarzy je wepchnęli. Wstąpiły w czerwone morze niewoli, szły wspierając się wzajem, po kilku nieśmiałych krokach siadły na bocznej ławie, a wojownicy siedli w koło stołu, tocząc w niezrozumiałym języku bardzo żywą rozmowę.

Po chwili, z bocznych drzwi wyleciała kobiéta młoda, ładna, z włosom w nieładzie, przebiegła koło stołu, i drzwiami od ulicy uciekła. Za nią wyskoczył Tatar podpiły, wpół szalony, podniósł zaciśnione pięści i z krzykiem rzucił się w dziką pogoń, a wodzowie śmieli się z zadowoleniem, jak myśliwcy, kiedy sfora dogania drżącą sarenkę.

Wódz o zielonym kaftanie wziął ze stołu kubek osobliwszy, którego Tatarzy używali wyłącznie do kumysu; był to rodzaj bani o dwóch szyjkach; jedna z nich, krótsza, zatykała się śrubką wiszącą na łańcuszku, i służyła do wlewania mléka; przez drugą szyję, dłuższą, wypijało się napój; koło szyjek był jeszcze rodzaj klapki bezpieczeństwa, która wypuszczała zbytnią ilość burzącej się piany. Banie te bywały zwykle drewniane, ale upstrzone złotem i srebrnymi ozdobami.

Wojownik skierował się ku Ludmile z kubkiem, i chciał go do jéj ust przyłożyć, mówiąc

jakieś wyrazy uspakajające. Obchodził się z nią jak ze zwierzątkiem, które człowiek chce oblauskawić.

Kiedy psotne dzieci wyjmą pisklę z gniazduka, jeśli mają troszkę litości i nie chcą go oskubać, będą chciały niezawodnie nakarmić je i napoić. Pierwszym ich wykrzykiem są słowa: «Biędny ptasio, pewno głodny.» I gwałtem kładą jadło w dzióbek nieszczęsnej ptaszynie, wcale niezważając że jej małe serce młotem bije pod piórkami.

Tak i tu, Mongoł gwałtem chciał napoić brankę, sądząc w barbarzyńskiej prostocie, że tym dowodem łaskawości ujmie ją i rozbroi. Ale ptaszyna była dzika, odwracała głowę ze wstrętem, ach tém większym, że przed chwilą jeszcze dostrzegła szyjkę tegoż kubka w ustach swojego karmiciela. Wyciągnąwszy obie ręce, odepchnęła go silnie. Wtedy ptasznik postawił banię na ławce, i odjąwszy żółtą jedwabną wstęgę od kołczanu, związał nią ręce Ludmiły; związał je lekko, jakby żartem, ale od swojej myśli nie odstąpił, znowu kubek do ust jej przytknął. Har-da branka byłaby się dalej broniła przeciw nieznośnej gościnności, kiedy Elżbieta rzekła do niej półgłosem:

— Nie gniéwaj go tak bardzo..... on całował krzyż..... może się zlituje..... przynajmniej nad Jasiem.....

Po swoim wzięciu w Witowie, Ludmiła oka-

zywała się dla wrogów zawsze ponura i nieubłagana; ach, bo wtedy była sama jedna. Ale kiedy jesteśmy w niewoli z ukochanemi osobami, ich obecność nieraz ubezwładnia nasz opór; obawa zaszkodzenia najdroższym istotom, skłania do wielu drobnych ustępstw.

Ludmiła, po słowach Elżbiety, mimo całej odrazy, przysunęła usta do kubka, i spróbowała napoju; ten ję się wydał przykry, odurzający; po kilku łyknięciach skinęła lekko głową, niby dziękując, a razem dając znak że już dosyć. Mongoł śmiał się radośnie jakby odniósł wielkie zwycięstwo, rozwiązał ję ręce, i stojąc zawsze opodal, wpatrywał się w nią z uporem który ją przemrażał do kości.

Tymczasem inny wódz powstawszy, zadawał Elżbiecie jakieś pytanie kilkakroć powtarzane. Elżbieta chciała odpowiedzieć, ale nie mogła zrozumieć pytania, patrzyła w mówiącego z niepokojem. Zniecierpliwiony, wyraził nakoniec swoją myśl aż nadto jasno, zrywając chustę która osłaniała Jasia.

Na widok prześlicznego dziecięcia w płaszczku słonecznych włosów, powstał jeden okrzyk podziwienia; wszyscy zbiegli się ciekawie, wydarli matce Jasia, obnosili go z krzykiem, całowali kolącemi uściskami, rzucali go sobie jakby piłkę. Matka chodziła za niemi struchlała, składając ręce, uśmiechając się do nich błagalnie,

a do Jasia mówiąc głosem jak najbardziej przekonującym:

— Jasiu, bądź grzeczny dla tych rycerzy, oni ci nic złego nie zrobią.

Jaś był zdumiewająco grzeczny; postrach uczynił go potulnym.

Nakoniec i wódz o zielonym kaftanie zobaczył chłopczykę; skoczył ku niemu, porwał, i zaczął mu się przekomarzać.

W téj chwili, żołnierz wszedł do izby, przynosząc wodzom jakąś nowinę czy rozkaz od wyższej władzy. Wszyscy szybko wyszli, tylko ten jeden tak był zajęty Jasiem, że niedosłyszał wezwania. Bawił się z dzieckiem zupełnie jakby z pieskiem, ciągnął go za miękkie uszka, targał coraz mocniej złote pukle, natura Mongolska brała górę, żarty stawały się okrutne. Jaś ciągle potulny, krzywił się i śmiał na przemiany. Ale przyszła chwila która jego cierpliwość wyczerpała: Tatar trafił na czułą strunę serca dziecinnego, dostrzegł że chłopczyk coś ukrywa na piersiach; był to ów pstry konik, tak starannie dotąd przechowany. Nagłym ruchem wyrwał go z rąk dziecka, i cisnął o kamienną ścianę; zabawka rozbiła się na sztuki. Jaś wybuchnął okropnym płaczem, zaczął rączkami i nóżkami z całej siły kopać niszczyciela. Wtedy Mongołowi oczy błysły czerwono, tupnął, zaklął, wziął dziecko za nóżki i za szyjkę, rozmachał je z wielkim rozpędem, i chciał cisnąć tak samo jak i ko-

nika; byłby mu niezawodnie roztrzaskał główkę o kamienie. Matka wydawszy krótki krzyk, podbiegła, ale pośliznęła się we krwi i upadła. Wtedy Ludmiła, pod natchnieniem rozpaczy, spojrziała w Mongoła z przerażającą zalotnością, trzymając go na uwięzi wzrokiem, «Tym, nieśmiertelnój talizmanem duszy», wychwyciła dziecko z rąk jego, i rzuciła je matce na oślepe, nie spuszczać przeciwnika z rozplamionych oczu.

Dopięła celu — zapomniał o dziecku — cała uwaga i całe niebezpieczeństwo zwróciły się na nią. Olśniony, zmagetyzowany, już ku niej trzy razy przystępował, już objęcie roztworzył, ale za każdą razą, — rzecz doprawdy niepojęta, — wstrzymała go jakaś moc chyba nadludzka. Złożył znowu ręce na piersiach, cofnął się, i tylko patrzył w zachwyceniu, powtarzając kiedy niekiedy:

— A! Prekrasnaja!

Ludmiła słysząc ten słowiański wyraz, padła na kolana, i w najsilniejszych, najgorętszych słowach zaczęła błagać zdobywcę, aby zachował życie niewinnemu dziecku, i aby jój nie rozdzielał z Elźbietą.

Wódz słuchał uważnie, łagodnie, ale nie mógł zrozumieć. Klasnął w ręce, i grzmiącym głosem krzyknął:

— Wasylko!

Wnet u drzwi pokazał się Wasylko, z karkiem czerwonym i grubym jak u wołu, z wło-

sem płowym, z niebieskimi szklistymi oczami. Wyraźnie, to nie był Tatar; ubranie miał téż odmiennie, długą szubę pasem przewiazaną. Przy-
stąpiwszy do wodza, padł na krwawą ziemię, i trzy razy czołem o nią uderzył; kiedy powstał, miał na czole plamę ze krwi która mu po twarzy ciekła, ale Wasylko nie bawił się w jój obcieranie, ręce trzymał sztywnie do boków przy-
lepione, i stał wyprostowany słuchając.

Wysłuchawszy, obrócił się do Ludmiły i przemówił, wprawdzie nie po polsku, ale jakimś językiem słowiańskim, w którym go niewiasty nie-
źle rozumiały, bo przed sześciuset laty, wszelkie gałęzie Słowiańszczyzny, jeszcze nierównie bliższe swego pnia wspólnego, były i mową podobniejsze sobie niż w obecnych czasach, w których wiekowe ukształtowanie się na odmiennych wzorach, nadało im odmiennie, a często wręcz przeciwne, cechy i kierunki.

Wasyłko więc mówił:

— Zacny Behadyr Ajdar każe mi się pytać, o co go tak prosisz?

Gdy błagająca powtórzyła prośbę, Wasylko odniósł ją wodzowi, i znów mówił:

— Wielki Behadyr Ajdar pyta się, dlaczego niechcesz być rozdzielona z tą kobietą? Mądry Behadyr osądził, że za młoda na twoją matkę, a nie wygląda na siostrę, bo nic do ciebie nie podobna.

Ludmiła odrzekła:

— Twój pan mądrze osądził, ale powiedz mu, że tę kobietę kocham więcej niż siostrę, bo to moja najdroższa przyjaciołka, a przytém kocham i jak matkę, bo winnam jój wiele dobrego.

Wasyłko wytłumaczył tę odpowiedź, powtarzając kilkokrotnie i z niejakim naciskiem wyraz *Anda*. Wódz skinął głową, i kazawszy Wasyłkowi stać u progu, wyszedł wielkimi drzwiami.

Niewiasty padły na ławę, przytulając się do siebie z drżeniem.

Ludmiła zapytała Elżbiety:

— Czy my już w piekle?

A Jasio zapytał:

— Matuniu, czy tu Bozi niéma?

— A jakże, i tu Bozia jest.—Odrzekła matka, i ta odpowiedź pocieszyła nietylko dziecko, ale i niewiasty; przypomniały sobie że i tu jest Bóg.

Po chwili, wódz Mongolski pokazał się na progu, wydał Wasyłkowi jakiś rozkaz, i wcale już nie spojrzawszy, odszedł.

Wasyłko wyjął z kieszeni sznur długi, dosyć miękki, kazał niewiastom powstać, i każdą z nich w pasie obwiązał jednym końcem sznura, a wśród roboty mówił:

— Behadyr bardzo łaskaw, kazał związać was dobrze, aby w tłumie przypadkiem was nie rozdzielono. Behadyr prosił starszyny, abyście

nie były na łup oddane żołnierstwu, ale przeznaczone dla wodzów. Tak! Będziecie przeznaczone dla którego z Behadyrów, może z Chanów, a może, — dodał kłaniając się ku wschodowi, — ach, może dla samego Wielkiego Chaana!

Mówiąc tak, oprawca wyraźnie sądził że pocieszy branki. Widząc je wciąż chmurnemi, ciągnął dalej:

— Musiałyście przecie uważać, jakim uszanowaniem wszyscy was otaczali? A! Bo nikt jeszcze niewie, czy nie przypadniecie Wielkiemu Chaanowi?

— I kiedyż się to rozstrzygnie? — Zapytała drżącemi ustami Ludmiła.

— O! Jeszcze nie zaraz, dopiero jak przejdziemy granicę, zjedzie wielki urzędnik Chański, z najlepszej zdobyczy wybierze to co mu się wyda godnym oczu monarszych, a resztę rozda wozom wedle ich zasługi. Proste pospólstwo, brzydkie dziewczki, bywają odrazu oddane, ale dla niewiast pięknych i znakomitych, zacni Mongołowie, jak widzicie, umieją mieć względy.

Wasyłko mówił słodziuchno, a jego podłe wyrazy wydawały się naszym brankom nieznośniejsze, niżeli groźby i klątwy.

Ale trafiła się chwila, jedna taka chwila, kiedy wszyscy obcy wyszli z izby, Wasyłko nagle odmienił twarz, ruchy, mowę, i głosem drgającym od współczucia, szepnął:

— Nieszczęśliwe! Zrobię dla was co będę mógł.... Cóż kiedy nie wiele mogę?

Obie z wybuchem radości, obejrzały się ku niespodzianemu przyjacielowi, chciały dziękować, pytać, ale w tej chwili kilku zbrojnych wtargnęło do izby, Wasyl brwi nasrożył, i machając nahajką, — ale tylko w powietrzu, — krzyknął na branki:

— No, stąpajcie!

Wyszły na ulicę. Już poranek szarzał, kłócąc się z łunami pożarów. Jakaś rosa, pół deszczowa, pół śnieżna, mrzyła niewidzialnie a dotkliwie. Wśród ciał pomordowanych, wśród skrzyń i sprzętów gwałtownie ładowanych na wózki, wśród tłumu brańców i branek, szły, przytulając się do siebie, i mówiąc:

— Jakie to szczęście, że nas ten dobry człowiek związał! Wszystko nic, byle razem.

Na skrawku ulicy, spostrzegły Kapelana, pędzonego w inną kupie jeńców. Poznał je, krzyż nad nimi w powietrzu nakreślił, i zniknął z towarzyszymi za palącym się domem. Już więcej na tej ziemi go nie zobaczyły.

Przejście Tatarów przez Iłżę i kraj okoliczny, było najstraszniejszym ze wszystkich znisz-

czeń, o jakich nasze dzieje wspominają; tak straszném, że mimo wielu późniejszych napadów Tatarskich, mimo wojen Szwedzkich, Tureckich, i tylu innych, lud tutejszy do dziś dnia pamięta owych pierwszych najeźdźców, do dziś dnia ich drogę nazywa «Czarnym szlakiem Batego»

Pielgrzym.

Wiosna roku 1241-go była późna i wietrzna. Ziemia, jakby odurzona krwią połkniętą, nie mogła się wytrzeźwić z senności. Już słońce wesoło dogrzewało, a jeszcze lasy czerniały, nagie i leniwe, trzeszcząc po zimowemu nad głową rzadkiego przechodnia.

Ach, i jak rzadkiego! Można było ujść półtora dnia drogi, i nie spotkać żywego ducha. Tak przynajmniej przytrafiło się pielgrzymowi, kroczącemu brzegiem Iłżanki. Ile razy przechodził przez jakie miejsce dawniej ludne, zasłaniał sobie usta krajem płaszcza, bo teraz już nietylko nad trzęsawiskami, ale nad całą ziemią, krążyły zabójcze wyziewy od tyłu ciał niepogrzebionych.

Roztajanie śniegów odsłaniało powoli trupy rozmarzające. Jedne, tylko kształtem się zdradzały, pod warstwą mułu, i ubiorów trudnych

do rozpoznania, inne już świeciły kośćmi, ogryzionemi przez dzióby i zęby niszczycieli, wykończających dzieło zniszczenia ludzkiego.

Mnóstwo téż po drogach i zaroślach walało się przedmiotów, pogubionych przez uciekające ofiary, lub zbyt obładowaną pogoń. Tu, skorupy garczka rozbitego w upadku, a dokoła krążki zapleśniałej monety. Ówdzie, z pod młodej trawki, sterczała uschła, niebieskawa ręka, na której świecił zapomniany pierścień. Podróżnik coby miał dosyć odwagi, aby przetrząsnąć główne widownie rabunku, byłby się jeszcze sownie obłowił.

Ale pielgrzym unikał wszelkich miejsc niegdyś zamieszkanych; odstraszało go od nich wycie psów, skarżących się na pustym progu, i jeszcze przeraźliwsze głosy wilków, czy jakichś innych leśnych gospodarzy, co teraz wszędzie czuli się panami.

Jedną tylko zdobycz pielgrzym podniósł skwapliwie: był to nóż szeroki, rudemi plamami okryty. Zatknał go za pasem, i uczuł się rażniejszy, bo sam ubiór pielgrzymi, już teraz nie dawał rękojmi bezpieczeństwa na pustyni, gdzie nie było komu powiedzieć: «Niech będzie pochwalony!»

Ów nóż, co w swoich plamach zawierał pewnie jakiś krwawy testament, leżał między strątaną darnią, na brzegu jakiejś szerokiej wody; nad wodą wisiała mgła niezdrowa, przez której

nieruchome kłęby, pielgrzym dojrzał na drugim brzegu, ogromne kupy ogorzałych gruzów.

Potoczył wzrokiem do koła, i poznał:

— To Iłża!

Poznał, chociaż zaprawdę niełatwo było poznać. Zamiast sadów i kwiecica, poopalane belki, poszarpane płoty, na ziemi w bezładzie. Zamiast ryku trzody i brzęku ulów, krakanie drapieżników, zataczających we mgle czarne kręgi.

Nagle, inne jeszcze głosy doleciały z za wody, od gruzów miasta: najprzód groźny skowyt i ujadanie, potem krzyk ludzki, jeden ale straszny. Może to był także jaki podróżny, nieostrożnie zaglądnący pomiędzy zwaliska, gdzie go zwierzę głodne opadło? A może to były ostatnie czaty pogan, zapóźnione przy wybiéraniu łupów, i dziko się nawołujące?

Na to przypuszczenie, pielgrzym wzdrygnął się jakby gorącym żelazem sparzony, uniósł płaszcz, i w las się puścił, jeszcze truchlejąc czy i tam go czyje oczy nie dojrzą, bo las był przejrzysty jak siatka, i zamiast liści, tylko wrony i kruki wieszały się na mszystych gałęziach. Wspomnienie owego krzyku, choć dawno ucihłego, pędziło pielgrzymą jak na skrzydłach. Ubiegł ogromny kawał drogi, i nie oparł się aż pod smutną, odartą górą, na której sterczały opaleniska grubych murów.

— A mój Boże! To *Żegnana góra!* To ów śliczny zameczek, gdzie jeszcze niedawno, takie dobre chwile przeżyłem!

I chociaż pielgrzym nie słyszał pewnie ani o Krezusie, ani o Solonie, pomyślał to samo co niegdyś powiedział mędrzec Grecki:

— Nigdy o ludzkim szczęściu nie można sądzić przed końcem. W porównaniu do mieszkańców tego miejsca, ja dziś mogę nazwać się szczęśliwym. Ja nie miałem nic do tracenia, ani drogich istot do bronienia. Jakim Tatarzy mię zastali, takim i odeszli. Kij, płaszcz, i głowę, łatwo ukryć w jaskini; jednemu, łatwo wyżyć w puszczy; ale zamków ani włości nie ukryjesz w skale, rodziny nie obdzielisz kilku korzonkami. Okropność.

I obchodził zwalisko, utyskując jakby nad własną stratą. Rzecz dziwna! Ani szczątki Iłży, ani gruzy tylu innych siedlisk, nie rozrzewniły go tak mocno jak widok tego zamku; bo tutaj znał mieszkańców, tu już miał wspomnienia. Każde drzewko ścięte go bolało; a wszystkie były powyrywane, porąbane, pewnie dla podsylenia ognisk najezdniczych, których ślady na gruncie wypalone, jeszcze otaczały górę, jakby łańcuch rdzawych pierścieni.

A ten wypieszczony ogródek z różami i ziółkami? Ani śladu. Na jego miejscu były okopco-

ne odłamy wyrzeźbień i ganeczku, od którego drzwi ziejące, jeszcze się otwierały z wieżyczki, ale otwierały się na przepaść.

Samych niespożytych murów, pożar nie potrafił przetrwać; za to wygryzł wewnątrz, przez otwory okien świecił pustym błękitem. Z bramy, zostały tylko żuzle i popiół. Most, zapadł się. Znikąd dostępu. I w całej pustce nikogo! Tu nawet już nie było i psa, coby zaskowyczał za panami.

— A moje najmilsze dobrodziejki, a dziecię owo z główką jak słońko, gdzie są? Między umarłemi? Czy w niewoli? Panie, świeć nad ich duszą, lub otrzyj z ich oczu krwawe łzy wygnania! Pójdę ztąd, bo mi ciężko. Jakoś moja Róża nie przyniosła im szczęścia.....

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.



PRZYPISY.

PRZYPISY

do Drugiego tomu Branek w Jassyrze.

Rozdział: Czy to koniec świata?

Str. 10. Nazwa Mongoł znaczy «*biędny*» «*słabiuchny*».....

«Telle est l'origine du peuple *mongol*, nom qui signifie simple et faible.» *Histoire des Mongols* par le BARON C. D'OHS-SON — Amsterdam—cher FR. MULLER — 1852—T. I. p. 22.

Str. 10. Każe się tylko nazywać Dżyngischanem, *wodzem potężnych.*

«Les chefs de tribus..... saluèrent Temoutchin du nom de Tchinkguiz—khacan..... *Tchink* veut dire en mongol *fort, ferme*, et la particule *guiz* marque le pluriel. *Khan* est la contraction du titre de Khacan.» *Tamże*—T. I. p. 99.

Str. 14. Dżyngischan uważał się..... za Dobroczyńcę ludzkości.....»

«Ce conquérant..... disait..... Si mes descendants, héritiers de ma puissance, suivent les mêmes règles, (co i on,) ils seront,

dans cinq cents ans, dans mille, dans dix mille ans, également assistés du ciel. Dieu les comblera de ses faveurs; *les hommes les béniront*, et ils jouiront, pendant de longs règnes, de toutes les délices de la terre.» *Tamze*—T. I. p. 392.

Str. 17. Ludzie zaczęli schnąć ze strachu, i pytać się czy to już koniec świata?

«En Occident comme en Asie, les peuples se persuadaient que les Tartares étaient les instruments dont la Providence voulait se servir, pour les châtier de leurs iniquités. Les Fidèles craignaient même que ce ne fut le peuple qui, selon l'Écriture, devait précéder l'arrivée de l'Ante-Christ; on le croyait sorti des extrémités de l'Orient pour anéantir le nom chrétien. Dans ce siècle, où l'autorité souveraine était affaiblie par l'aristocratie féodale, et l'Europe morcelée en petits états rivaux; où l'on ne pouvait prendre aucune mesure sans convoquer une diète, ni réunir ses efforts pour un intérêt commun.... la chrétienté fit à peine quelques préparatifs de défense contre les hordes barbares prêtes à la dévaster, et ne dut probablement son salut qu'à la mort d'Ogotai, qui obligea Batou et les autres princes à retourner en Tartarie pour participer à l'élection d'un nouveau souverain. Sans cette heureuse circonstance, il est à croire que la supériorité des Mongols dans l'art de la guerre, eut fait éprouver aux autres nations européennes le sort déplorable des Russes, des Hongrois et des Polonais. Une funeste expérience avait prouvé, que des troupes composées d'un petit nombre de cavaliers couverts de fer, et d'une multitude de paysans à demi nus; que des armées sans ordre, ni subordination, sans unité de commandement, ni usage de tactique, ne pouvaient résister à cette nombreuse cavalerie légère des Mongols, aguerris et disciplinés, fertiles en stratagèmes, habiles dans l'art des grandes opérations et des manoeuvres sur le champ de bataille; qui, montés sur des chevaux agiles, et frappant de loin par leurs flèches, se jouaient de la bravoure et de l'adresse des guerriers habitués à combattre avec la lance, l'épée et la masse d'armes.» *Tamze* — T. II. p. 171.

Rozdział: Kyrie eleison!

Str. 33. Kronika opowiada że wszystkie Norbertanki Witowskie zginęły..... wyjąwszy trzy które zdołały zbiedz do lasów.

«Splądrowali pod ów czas Tatarzy klasztor Witowski, i z srogością barbarzyńską wymordowali wszystkie mniszki, okrom trzech które do lasów uciekły. Dlatego później zakonnice rzeczono-ego klasztoru przeniesiono do Buska w dyecezyi Krakowskiej, jako w miejsce nierównie bezpieczniejsze; Buskie zaś opactwo przeniesiono do Witowa.» *Dzieje Polskie* J. DŁUGOSZA—Kraków—1868—T. II. Str. 259.

Wspomnienie o tym strasznym napadzie na klasztor Witowski, utrzymało się aż dotąd w pamięci miejscowego ludu. W *Tygodniku Ilustrowanym z r. 1872-go Nr. 210. Str. 3.* w artykule p. Leona Rzeczniewskiego pod tyt. *Podanie o dziewięciorazowém dzwonieniu w kościele farnym w Piotrkowie*, czytamy następującą wzmiankę:

«O dziewięciorazowém dzwonieniu codziennie wieczorem w kościele farnym Piotrkowskim, praktykującym się od bardzo dawnych czasów, bez przerwy do obecnej chwili..... utrzymują się tu..... rozmaite podania..... Prostaczkowie sądzą iż ten smutny dźwięk dzwonu przypomina utopionych..... inni tego są zdania, że dzwonienie to żałobne jest wezwaniem do modlitwy za kapłanów zabitych przez Szwedów; inni jeszcze dziewięciorazowe uderzenie w dzwon z przestankami uważają jako wspomnienie Panien Norbertanek, pomordowanych przez Tatarów we wsi Witowie, trzy ćwierci mili odległej od Piotrkowa; nareszcie niemała liczba jest takich, co odwieczny ten zwyczaj przypisują pamiętce po poległych wraz z królem Władysławem..... pod Warną..... rycerzach. Z tych podań dwa tylko zasługują na bliższe rozpatrzenie, to jest o pomordowanych zakonnicach w Witowie, a drugi o poległych pod Warną, z tego głównie powodu, że pierwsze jest w ustach ludu wiejskiego, pokazującego jeszcze i teraz w lasku Witowskim dół

zwany «panieńskim», w którym jakoby miały być pogrzebione ciała pięciu zabitych przez Tatarów Norbertanek..... i t. d.»

Rozdział: Bitwa o której wiedzą i Chińczycy.

Str. 37. Kronikarze Chińscy, opisujący wyprawę Mongołów, płaczą nad niepowetowaną stratą, jaką wojska Tatarskie poniosły w kraju «Polo», pod wioską zwaną «Tulisko».

«Włodzimierz herbu Gryf Woiewoda Krakowski u wsi Kaliny ziazd miał z szlachtą. Tatarowie nabrawszy się dosyć, wrócili się..... w siedmi mil tylko od Krakowa, y tak ciągnęli z korzyścią do Rusi; czego dowiedziawszy się Włodzimierz Woiewoda Krakowski, puścił się za nimi w pogonią, z szlachtą Krakowską y Sandomierską; y dogonili ich u Turska, mila od Połańca, gdzie na nie prędko wpadszy, pogromił ie, y więźniów nie mało wybawił: wszakże Tatarowie do sprawy przyszedszy, łączno naszych przemogli, bo im barzo nierówno było; gdzie między inszemi zabił młodzieniec osobliwy, gdy sobie dobrze poczynał, Michał Przedwoiowic. A wszakże ich przecię daleko nie śmieli gonić Tatarowie, bo się bali zasadzki iakiey; y owszem..... w lesie który zowią Strzemech kilka dni się utaili.» *Kronika* MARCINA BIELSKIEGO—Warsz. u XX. S. J.—1764—Str. 135.

«Mongołowie zwyciężyli,.... lecz poniesiony w tój bitwie cios tak boleśnie dojął zwycięzcom, że smutna pamięć polskiej wsi Tursko zachowała się przez długie lata u synów..... Ordy, i przeszła nawet w roczniki Chińskie, wspominające o stracie Mongołów nad Wisłą, pod Tulisseko. Nadto znaczna część jeńców znalazła w czasie bitwy sposobność do umknienia w lasy przyległe, i szczęśliwie uszła niewoli.» *Szkice historyczne* K. SZAJNOCHY—Lwów—1854—ŚWIĘTA KINGA—Str. 11 i 12.

Te wiadomości zamieszczone w Chińskich rocznikach, są jednak niezmiernie mętne; nasze skromne Tursko przemienia się

tam na groźną, niezdobytą warownię. *W życiorysie Subutaja*, napisanym przez Abła Rémusata, czytamy:

«On mit le siège devant Tholisseko, ville dont on ne recon-
naît pas le nom, sans doute altéré dans les relations chinoises.
Souboutaï n'ayant pu s'en rendre maître..... s'empara de Yelieï-
pan.... ect.» *Nouveaux Mélanges Asiatiques* par M. ABEL—
REMUSAT—Paris—1829—T. II. p. 95.

Przy tój sposobności warto przytoczyć téż i z Perskiego pi-
sarza Raszyda, ustęp odnoszący się do tejsze wyprawy Mongołów
na Polskę i Węgry:

«Au printemps de l'année du singe.... Mangou, Couyouc et
Cadan..... et plusieurs généraux, parmi lesquels se distinguait Sou-
boutaï-Bahadour, partirent pour l'expédition contre les Kiptchacs.
Ayant marché tout l'été, ils arrivèrent en automne..... dans le voi-
sinage du pays des Boulgares. De là, Batou, Schibar et Bouroul-
daï s'avancèrent contre les *Polo* et les Baschgirdes, (les Polonais
et les Hongrois.) Les Polo sont une nation très-considérable,
qui professe le christianisme, et dont le pays confine à celui des
Francs..... Le Polo et la Baschgirdie sont de vastes pays, où il
y a beaucoup de lieux fortifiés.» Tu następuje najciekawsze,
i naprawdę zabawne zakończenie: «Néanmoins ils les conquirent;
mais ces peuples se révoltèrent dans la suite, et maintenant (Ras-
chid écrivait en 1300) ils ne sont pas *tout-à-fait* (!) soumis; ils
conservent même leurs rois qu' ils appellent *Kélar*.» *W Do-
datkach do Histoire des Mongols* d'OHSSONA, w T. II. Note
2-me p. 619.

Rozdział: Archanioł.

Str. 47. Świetniał zastęp tak zwanych «be-
hadyrów».

«Oprócz tego znajdowali się jeszcze u steru osobnych od-
działów dawni, sławą okryci wojownicy, czyli tatarskim, a od Ta-
tarów do nas przeszłym wyrazem *bohaterowie, behadirowie*,

jak Subutaj pogromca Chin i pierwszy zdobywca Kapczaku; Burundaj—*behadir*, Biedaj—*behadir*, Haider i inni.» *Szkice historyczne* KAR. SZAJNOCHY—Lwów—1854—*Święta Kinga*—Str. 7.

«*Bohater*, wyraz przyswojony z perskiego; *behadyr*, mężny; właściwie *behador*, mający wartość; po mongolsku *bahatur*, po tatarsku *bahadyr*. Niektórzy monarchowie na Wschodzie nadawali tytuł honorowy Bahadyra, który się zawsze dodawał do imion, np. *Abul-Guzy-Bahadur-Chan*, sławny historyk dżagatajski.» *Encyklopedia Powsz.* ORGELBRANDA—T. III. Str. 890.

Rozdział: Na pobjawisku.

Str. 71. Tatarzy..... pozbiérali swoich umarłych..... ażeby ich przechować dla Azjackich grobów.

«Po całorocznej gościnie nad Dunajem..... cofnęli się Mongołowie..... nazad ku Donowi i Wołdze, uwożąc z sobą w dalekie stepy Azji, całe cmentarze trupów poległych z ręki chrześcijan europejskich.» *Szkice hist.* SZAJNOCHY—*Św. Kinga*—Str. 19.

Rozdział: Oczekiwanie.

Str. 87. Z lasów, chmury ptastwa unosiły się i leciały na zachód, jakby gnane jakimś postrachem.

«Dziejopisowie mówią, że wchód Tatarów..... oznaczało poruszenie w wielkiej mnogości ptaków, które postraszony..... przed nawałą koni i ludzi ulatywać zaczynały.» *Opis Starożytnej Polski* TOM. ŚWIĘCKIEGO—T. II—Str. 142.

Rozdział: Piekło.

Str. 128. Na czele stąpił człowiek młody.... na piersiach miał kaftan bardzo krótki.... i t. d.

Cały strój Ajdara, i wszelkie inne ubrania Mongolskie, opisane są według zabytków jakie się przechowały po zbiorach starożytności wschodnich.

Str. 131. Wódz, zobaczywszy nad głowami tłumu krzyż złoty, padł na kolana i trzy razy czołem o ziemię uderzył.

Na to że Tatarzy, choć nie wyznający Chrześcijaństwa, składali jednak cześć krzyżowi, mamy we współczesnych pismach rozliczne dowody. Oto jedno z takowych świadectw:

«Nous allâmes à la maison du fils aîné du khân.... dès que celui-ci nous vit venir, il descendit du lit sur lequel il était assis, se prosterna par terre, frappant la terre du front et adora la croix. S'étant redressé, il la fit placer avec la plus grande vénération dans un endroit élevé, sur un drap neuf et tout près de lui.... Nous allâmes ensuite à la cour de la seconde femme du khân. Son nom est Cota et elle est idolâtre; nous la trouvâmes malade.... Le moine.... lui ordonna d'adorer la croix à genoux et en frappant la terre du front.... De là nous allâmes à la quatrième demeure, qui était la dernière par le nombre et la dignité, car le souverain en visitait peu la dame.... Celle-ci, comme la seconde femme, savait peu de chose ou rien du christianisme, elle était idolâtre et consultait les devins. Toutefois, à notre entrée elle adora la croix.» *Guillaume de Rubrouck, Ambassadeur de Saint Louis en Orient—Récit de son voyage—Traduit du latin p. Louis de Backer—Paris—chez Leroux—1877—P. 178 et suiv.*

Str. 132. Roztaczała się przed niemi izba ośmiokątna.... stanowiąca dolne piętro jednéj

z baszt Iłżeckich. Ta baszta, choć wielokrotnie już niszczone i odbudowywana, do dziś dnia nazywa się «Piekłem».

«*Iłża*...., do miasta wjeżdżało się trzema bramami.... czwartą bramę od zachodu przedstawiała wieża zwana «Piekło», ale przez nią nie było przejazdu. Rozebrana, dostarczyła ona materiału na zbudowanie kamienicy, którą dziś «Piekłem» mianują.» *Art. Iłża* p. F. M. SOBIESZCZAŃSKIEGO w *Enc. Powsz. Orzelbr.* T. XII. Str. 472.

Str. 142. Przejście Tatarów przez Iłżę i kraj okoliczny, było najstraszniejszém ze wszystkich zniszczeń o jakich nasze dzieje wspominają.

«Kiedy byłem w tych miejscach, jeszcze gmin wspominał o drodze Batego i jego okrucieństwach.» CZACKI — *Dzieła* — T. III. Str. 305.

«Osobliwie ucierpiały okolice, napiętnowane śladami stóp Batu Chana i jego bohaterów. Były to właśnie powiaty najuprawnniejsze, pod wzorowym onego czasu zarządem kościoła zakwitające, posiadłości biskupie około Iłży. Bolesne wspomnienie zrzędzonych tam przez Ordę klęsk i spustoszeń, przeżyło pamiętkę wszelkich najazdów nieprzyjaciół późniejszych. Przez długie wieki następne, zachowała droga pierwszego pochodu tatarskiego, wiodąca poblizem Iłży na biskupie siola Prandocin i Rzechów, groźną nazwę «Szlak Batu-Chana». Jeszcze po dziś dzień opowiada lud tameczny o przejściu płomiennój nawały pierwszych Tatarów.» *Szkice historyczne* K. SZAJNOCHY—*Św. Kinga*—Str. 12.



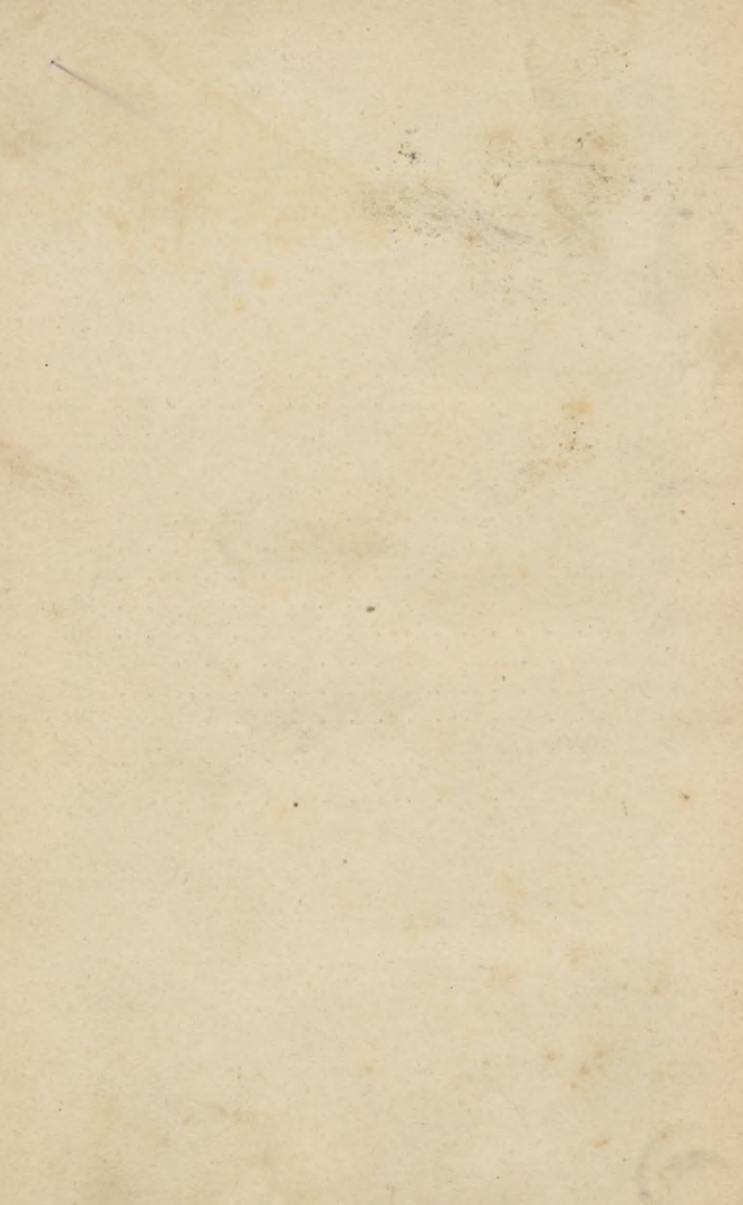
SPIS PRZEDMIOTÓW

zawartych w Tomie Drugim.

Część Druga.

	<i>Str.</i>
Czy to koniec świata?	7
Kyrie eleison!	20
Bitwa o której wiedzą i Chińczycy.	37
Archanioł	46
W lesie	54
Na pobojowisku.	71
Co koń wyskoczy!	76
Oczekiwanie	81
Psota dziecinna	94
Szturm.	107
Podziemie	117
Piekło	128
Pielgrzym.	144
Przypisy do Części Drugiej.	149
Spis Przedmiotów	159

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH

BIBLIOTEKA

174101

Biblioteka WSP Kielce



0121712